

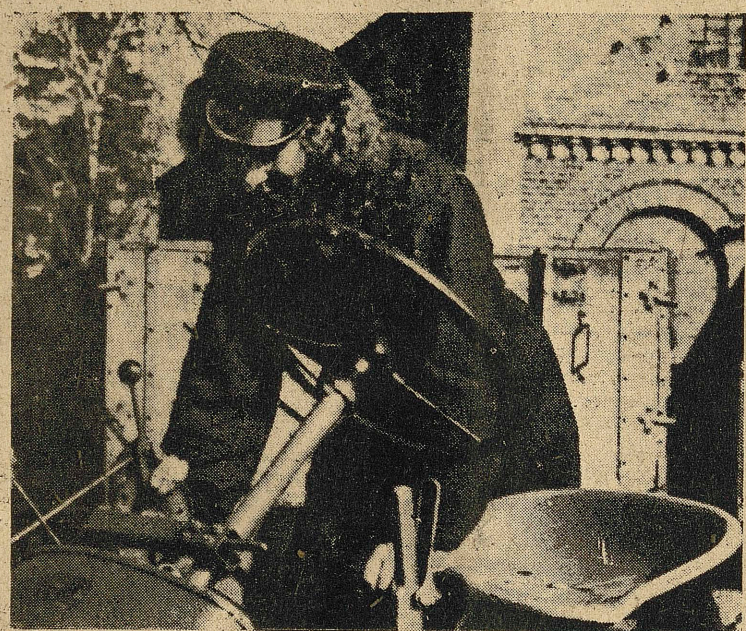
Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII

Warszawa, dn. 25. II. 1951 r.

Nr 8 (291)



EDMUND NIZIURSKI

MŁODZI

Mnie, towarzysze — oświadczył Roman Zambrowski omawiając przemówienie w pracy młodzieży na wsi*) udało się wczoraj wysłuchać tylko 10 przemówień, ale myślę, że wystarczy wysłuchać tylko tych 10 przemówień, ażeby móc stwierdzić, że jest coś nowego i bardzo cennego w pracy ZMP na wsi. Na czym polega to nowe? Polega ono przede wszystkim na tym, że wy postawiliście daleko za sobą te czasy, kiedy wasi aktywiści w praktyce często traktowali wszystkich chłopów i całą wieś jako jednorodną, nieodróżnioną całość.

„Dziś ZMP-owcy nauczyli się już rozróżniać między biedotą wiejską, naszym głównym oparciem na wsi i średniactwem — naszym sojusznikiem a kulakiem, wyzyskiwaczem i spekulantem.

„Dziś ZMP-owcy coraz aktywniej włączają się do walki klasowej, która codziennie i nieustannie, w każdej gminie, w każdej gromadzie się toczy.

„Po drugie: to nowe i cenne w pracy ZMP na wsi polega na tym, że wasza postawa cechuje coraz większe poczucie odpowiedzialności za wszystko co się u was w terenie dzieje, że ZMP-owcy coraz bardziej czują się młodymi gospodarzami całej wsi.“

Towarzysz Zambrowski wskazał na dwie zasadnicze sprawy: na sprawę nowego widzenia i działania młodzieży wiejskiej.

I.

Gdy ZMP-owiec z Bystrej demaskował nadużycia w spółdzielni a prezes Pasternak groził mu: „co ci do tego smarkaczu“ — gdy w gminie Siemysłów (woj. opolskie), gdzie średniacy na skutek propagandy wroga niechętnie dostawali zboże, „starzy“ aktywiści gminy wzdrygli się dopuścić ZMP-owców do akcji skupu zboża, bo nie wierzyli, że ZMP-owcy potrafią przekonać swych ojców obawiali się, że raczej im ulegną — gdy kierownik majątku PGR Gałęźnia Wielka, Cichowski, złożyli odmawia młodzieży ZMP-owskiej z tego gospodarstwa furmankę na zebranie i nie przekazując odbieranych przez siebie telefonogramów organizacji — gdy dyrektor zespołu PGR Mantarzyno i jego zausznik, agronom, udaremniając próby młodzieży zorganizowania brygad omlotowych i kolektywnej pracy — warknięciem: „wy nas nie będziecie uczyć“, a sami dopuszczają do zgnicia wielkiej ilości ziemniaków i nie wykonują nawet w 50% planu omlotu, to takie fakty nie mieszczą się już w zakresie złych i dobrych obyczajów i to już nie jest jakaś „walka pokoleń“. To jest po prostu **walka polityczna** o sprawy ogólnie — społecznej i państwowej wagi.

*) W dniach 27 i 28 stycznia odbyła się w Warszawie Krajowa Narada aktywności wiejskiego ZMP.

Ten więc, kto młodzież usiłuje utrzymać tylko w murach szkoły i świetlicy i nie wypuścić poza świetlicę i boisko sportowe — pozabawia Partię w terenie jej najwierniejszego pomocnika i demaskuje swój szkodliwy a często wrogi stosunek do walki o socjalizm, jaka się na wsiach naszych toczy.

Młodzież posiada zawsze ten cenny kapitał, który na ogół rzadko zatrzymują starsi — zapal. Młodzież wolna jest w swej masie od nawyków i obciążeń posiadacza. Dlatego młodzież tworzy dziś trzon tych nowych kadr, tych nowych, wyrosłych ludzi, którzy — jak mówił tow. Zambrowski — nie chcą i nie widzą już dla siebie powrotu do indywidualnej gospodarki, ludzi, których porwał patos wspólnej, socjalistycznej pracy dla dobra własnego i całej spółdzielczej gromady.

W gromadzie Borowa — opowiadał na naradzie kolega Michajlik — gdy ojcowie ZMP-owców Kowalskiego i Majewskiego uporczywie odmawiali przystąpienia do spółdzielni produkcyjnej, ZMP-owcy na ogólnogromadzkim zebraniu wystąpili przeciw własnym ojcóm i powiedzieli: „jeśli nie chcemy wstąpić do spółdzielni to my wstąpimy. Oddajcie nam naszą gospodarkę, co nam się należy i my zapiszemy się“. Ojcowie przekonani bojowością i zapalem synów zdecydowali się w końcu na przystąpienie do spółdzielni.

To ma wymowę.

II.

Ponad 90 proc. naszych chłopów pracuje jeszcze indywidualnie i chodzi w jarmie drobnotowarowej gospodarki. Ten fakt określa w wystarczająco jasny sposób czolowe zadanie młodzieży na wsi. Jest nim wciąż jeszcze i przede wszystkim **praca wśród chłopów gospodarujących indywidualnie**.

„Tutaj ciągle jeszcze znajduje się główny tor walki klasowej — wskazał na Naradzie tow. Zambrowski — naszym zadaniem, jako pomocnika Partii jest w tej wsi indywidualnej **przerzucić mosty**, po których chłopom łatwiej będzie pójść drogą do socjalistycznej gospodarki, do spółdzielczości produkcyjnej.“

Te mosty to praca powołanych dekretem Władzy Ludowej takich instytucji i akcji jak spółdzielczość zaopatrzenia, kontrakcyjne, ośrodki maszynowe, planowy skup zboża, pomoc sąsiedzka. Ale pamiętajmy: nie same instytucje lecz **praca tych instytucji** i nie same akcje lecz **walka w ramach tych akcji**. Samo utworzenie danych instytucji i zorganizowanie akcji to jeszcze nie wszystko. Nie są one żadnym cudownym środkiem na socjalistyczny wzrost ani automatem podnoszącym mechanizm chłopów do gospodarki kolektywnej. Istotne jest natomiast, jak one pracują, jaki jest ich styl pracy.

Lenin przestrzegał przed wiarą w magiczną siłę dekretu. Wiarę taką nazywał komunistyczną pyszałkowatością.

„komunistyczna pyszałkowatość oznacza, że człowiek należący do Partii komunistycznej i jeszcze z niej nie wyrzucony wyobraża sobie, że wszystkie swoje zadania potrafi rozwiązać za pomocą komunistycznego dekretowania“. („Ogólnorosyjski zjazd pracowników oświaty politycznej“). Dzieła, tom XXVII, str. 50—51).

Pracujący po bolszewicku działający terenowo nie będzie więc liczył na to, że mosty do socjalizmu **samoczynnie** przeprowadzą masy małe — i średniorolnego chłopstwa, lecz podejmie codzienną znużającą walkę o wykorzystanie tych instytucji i akcji jako skutecznego narzędzia walki klasowej, torującego drogę do spółdzielczości produkcyjnej, podejmie powolny trud walki o wielką rzecz, o to, by chłop w tych zwykłych codziennych sprawach, w tych użytkowych, gospodarczych i instytucyjnych, z którymi się ciągle styka zobaczył bojowy oręż, jaki mu daje klasa robotnicza i jej rewolucyjna Partia i by tym orężem nauczył się klasowo skutecznie walczyć.

Nasi aktywiści doceniają znaczenie ekip robotniczych odwiedzających wieś. Nieraz wzdychają: żeby tak można zatrzymać je u siebie na wsi na stałe. A przecież są takie stałe ekipy robotnicze na wsi. Nazywają się **Państwowe Ośrodki Maszynowe (POM)**. W nich znajduje najbardziej „namacalne“ wcielenie i bezpośredni wyraz — sojusz robotniczo — chłopski. Ta placówka robotnicza i przemysłowa na wsi to najbardziej wysunięta na froncie walki klasowej forpoczta socjalizmu na wsi, to potężna dźwignia spółdzielczości produkcyjnej na wsi, która, jak powiedział tow. Zambrowski, w miarę rozwoju będzie przewyższać odwieczny podział między wsią a miastem, odwieczne zacofanie wsi wobec miasta.

To jeden z najskuteczniejszych oręż, jaki klasa robotnicza daje pracującemu chłopstwu.

Czy jednak oręż ten działa automatycznie bez świadomych kadr, bez ustawicznej pracy politycznej i czujności?

Postulujmy co mówił kol. Zdrodowski o pracy koła ZMP w pewnym POM-ie. Zdrodowski dzielił pracę ZMP na trzy okresy.

„Jeśli chodzi o okres pierwszy, to okres ten mógłbyśmy nazwać okresem barbarzyństwa w POM-ie (wesołość na sali). Nic śmiesznego koledzy. Sytuacja była taka, że trzeba było płakać nieraz. Ludziom mówiło się różnie, różne rzeczy, ale nikt tego nie wykonał, co się mówiło. Każdy robił swoje. Gdy przyjeżdżało się do brygady po wypłatę to wielu leżało pijanych. Na porządku dziennym rozbicia traktorów, awarie i inne rzeczy. Brygada II w nowoorganizowanej spółdzielni rozegnała całą wieś sztachetami, wybiła szyby w oknach u sołtysa i rzuciła się na milicjanta. Zorganizowano kółko ZMP-owskie. W ośrodku było kilku starych ZMP-owców, ale niekiedy z nich nie chcieli się przynajmniej do tego, że są nimi. Fomali zebrałem gromadkę ludzi, z którą zacząłem pracować, a w pracy tej bardzo dopomógł mi

„Poeemat Pedagogiczny“ — Makarenki. Przeczytałem go dwa razy i nauczyłem się wiele. Znalazłem tam dużo wskazówek jak mam robić, jaką słuszną drogą kierować się w swej pracy. Zaczęłem szukać przyczyn zła.

Ci młodzi ZMP-owcy to poprostu byli analfabeci pod względem politycznym. Nieraz trzeba było iść z takim kolegą i pokazać mu szatańską w tym miejscu gdzie on pracował, a czego nie widział.“

A więc i POM może mieć swoją historię i swoje okresy „barbarzyństwa“, kiedy praktycznie nie tylko nie spełnia funkcji politycznych ale i może szkodzić sprawie. Tak, bo nie same maszyny ale „kadry decydują o wszystkim“. Bo warunkiem skutecznej pracy POM-u jest poziom polityczny. Dlatego powołaliśmy do życia wydziały polityczne w POM-ach. Dlatego ZMP-owcy również muszą walczyć o ubojowanie ideologiczne POM-ów.

Doniosłe znaczenie tej pracy potwierdzają wyraźnie doświadczenia terenowe. Nie trzeba zresztą sięgać daleko. Wystarczy przykład wspomnianego już POM-u z powiatu Choszczno. Praca polityczna ZMP wydała tam szybko owoce. M. in. w POM-ie powstało 5 brygad „Lekkiej Kawalerii“. Charakterystyczny jest tu fakt, że przełom nastąpił w wyniku dostarczenia konkretnego wroga klasowego i w konkretnej z nim walce. Wrogiem tym był kulak Nowicki, były granatowy policjant, który dotąd trząsł rękami swych kumotów całą okolicą. Gromada nałożyła na niego obowiązek odprowadzania 40 m zboża. Bogacz „zaofiarował“ 20 metrów i to jeszcze ze stękanieniem. W rzeczywistości do 10 stycznia nie zaczął nawet młócić zboża. „Lekka Kawaleria“ wyruszyła w teren. „My, proszę kolegów, 70 m jemu namłóć!“, opowiada kolega Zdrodowski o wynikach akcji — a jeszcze i tak wszystkich mu nie namłóć! „Bo chcieliśmy mu resztę zostawić dla życia i inwentarza.“

Otdąd Gminna Rada Narodowa zwracała się do „Kawalerii“ o pomoc. Ta sama spółdzielnia wieś, która była ofiarą „barbarzyństwa“ chłopów z POM-u, dzisiaj widzi w tej młodzieży zdyscyplinowany, bojowy — i własny oddział kadrowy, który nie zawiedzie w boju.

To jest drugi „Poeemat Pedagogiczny“, który czeka na pióro polskiego Makarenki.

Podobnie jak POM wielką dźwignią dla pracującego chłopstwa jest Gminna Spółdzielnia ZSCA. A jednak zdarzyło się w Bystrej, o czym mówił na naradzie kol. Hojda, że zła praca tej spółdzielni dawała broń propagandową w ręce wroga klasowego.

Jeśli spółdzielnia gminna źle pracuje — powtarzali kulacka argumentację miejscowi chłopcy — to jak pracować będzie spółdzielnia produkcyjna?

Wielką dźwignią jest kontrakcja. A jednak w Koźmicach Wielkich pow. Kraków szła na rękę właśnie bogaczowi a nie małorolnym, przez że zorganizowanie skupu i wyłączenie czynnika społecz-

W NUMERZE:

F. JEZERSKI — fragment pism. J. ZIOMEK — „Wulkan gromów Kuźnicy“
S. WASILIEW, M. MIRSZAKAR, L. DMITERKO, S. CECHE — wiersze o Puszkinie.
F. ZAWADA — Stalingrad. L. KOPROWSKI — Pozdrowienie dla gromad.
H. WORCELL — Uwaga, własność ludowa. B. LESMAN — Idzie o rok bieżący.
L. SOBIERAJSKI — Pisarz i środowisko. W. ŚCIBOR, J. SKALSKI — listy z prowincji.
W. BILLIP, H. RYBICKA, L. GOLINSKI — recenzje.

nego przez polityczne jej wypaczenie.

Skoro zaś kontraktuje nie małorolny, lecz bogacz i on korzysta — coż się dzieje z dźwignią?

Rozwiązanie tego problemu — problemu skutecznego wykorzystania potencjału bojowego instytucji i akcji gospodarczych na wsi — to główne zadanie aktywności. Nie trzeba podkreślać, jak wielką pomocą są takie dobrze pracujące instytucje i przeprowadzone akcje przy bezpośredniej agitaacji i przekonywaniu rodziców przez młodzież — do spółdzielczości produkcyjnej.

III.

Jak stoi zagadnienie właściwego stosunku do takiego chłopca małego i średniorolnego, który nie pojmuje jeszcze spółdzielczości produkcyjnej?

Trzeba zrozumieć chłopca — biedniaka, który cofa się od wkładu inwentarskiego i mówi: „dobrze, ja się godzę na spółdzielnię, ale przecież ja się **dobrobiełem pierwszy raz w życiu konia**, ja go teraz nie oddam, oddam go dopiero na wiosnę“ i trzeba odróżnić tego chłopca od kulaka, Cholesia, który, zakrywając się gomułkowszczyzną, rozbijał perfidnie spółdzielnię. Trzeba odróżnić otumanionego średniaka, który nie chce deklarować konia i mówi: „Ja mam przecież działkę przyzgodową, a wście nam obiecali drugą dodatkową działkę i dlatego ten koń mnie się przyszy. Bo nam tutaj tłumaczą na gromadzie, że statut przewiduje działkę przyzgodową do jednego ha, w zależności od gruntu, ale nam tutaj również mówią, że specjalnie pod kartofle dostaniemy jeszcze po jednej działce hektarowej, abyśmy mogli zasadzić kartofle i zasiać trochę pszenicy“. Trzeba tych chłopów odróżnić od wroga, który tak uświadamiał członka, od wroga, któremu chodziło o to, aby chłop stracił wiarę do płodów, jakie uzyska w spółdzielni, aby stracił wiarę, że z pracy w spółdzielni będzie mógł dobrze żyć, aby nie wychodził do pracy w spółdzielni, lecz tylko na swoją działkę przyzgodową.

IV.

Kolega Przybocień za jedną z podstawowych korzyści, jakie przynosi spółdzielnia produkcyjna uważał to, że młodzież wiedzy ma łatwiejsze przejście do miast, do przemysłu. Ślusznie. Potrzebny jest w Planie 6-letnim przemarsz miliona ludzi ze wsi do przemysłu.

Alle kolega Lekki opowiedział o drugiej stronie zjawiska odpływu młodzieży ze wsi.

W jednej z gromad pow. Oleśnica natychmiast po zorganizowaniu Komitetu założycielskiego Spółdzielni Produkcyjnej młodzież zaczęła masowo opuszczać tę gromadę i wyjeżdżać do Wrocławia, do PAFAWAG-u, do Oleśnicy — do miast i do fabryk. O czym świadczy taka zdawałoby się panikarska ucieczka z gromad? Czy jest to ucieczka przed spółdzielnią? Nie, problem jest inny.

Tej młodzieży nie potrafił nikt wskazać realnej możliwości awansu społecznego na samej wsi. W miarę rozwoju tam form socjalistycznych, — a tymczasem, tak wykażal tow. Zambrowski, zagadnienie awansu na samej wsi jest dla młodzieży wiejskiej pierwszoplanowe w perspektywie czasu.

„Nasze PGR-y i rozwijający się ruch spółdzielczości produkcyjnej bezwzględnie wymagał coraz większej armii mechaników, techników, kierowników warsztatów, brygadistów, agronomów, zootechników, pracowników gospodarczych i kulturalno — oświatowych. Cała armia nowej chłopskiej inteligencji socjalistycznej będzie powstawać na wsi polskiej. I ten awans społeczny trzeba widzieć. Socjalizm u nas rośnie nie tylko w Nowej Hucie pod Krakowem, ale rośnie z rozwojem PGR-ów i POM-ów, rośnie z rozwojem spółdzielni produkcyjnych“.

Organizacja ZMP-owska w powiecie Oleśnica popełniła pod tym względem błąd. Błąd ten zaszła się o drugi.

Jeden z kolegów na Naradzie szczylił się, że organizacja wysłała na kursy szkoleniowe praktyków specjalistów nie 14 ale 16 członków. Ciężko było, ale się wysłało aż (!) 16! Oto główny sukces organizacji. Czyżby?

To znaczy przecież, że dumna ze swej pracy organizacja nie zna swojej młodzieży. Agituje na ślepo! Brak u niej długofalowości pracy, o której mówił tow. Zambrowski. To jest sprawa typowego błędu, który polega na rwanej pracy od kampanii do kampanii.

Głęboko miejscowy ZMP przez cały rok badał i poznawał indywidualnie zainteresowania, zdolności i marzenia młodzieży, gdyby pracował nad rozwinięciem tych zainteresowań i zdolności, gdyby uczył o awansie na wsi — wtedy problem wyglądałby wprost przeciwnie: co zrobić z kandydatami, których ilość przewyższała możliwości kontyngent w szkołach?

Jednakże problem awansu na wsi to nie tylko problem uświadczenia i szkolenia młodzieży. To także problem właściwej polityki i praktyki kadrowej na wsi.

Przemawia na naradzie kol. Lewandowska, młody agronom z Zespołu PGR Montarzyno. Opowiada o pracy organizacyjnej ZMP w zespole.

Przewodniczącym powiedział nam przede wszystkim koleżanko, jak w młodym agronom, pracującym w tym PGR-e, jak wam tam idzie praca.

Tow. Lewandowska: Cane właśnie powiedzieć, że Zarządy Głównie niewłaściwie rozmieściły młode kadry, które w tym roku wyszły ze szkół. Ja, jako młodszy agronom, nie zajmuję się moją pracą, gdyż Zarządy skarżą się na brak sił biurowych i zatrudniają nas w biurze, nie dopuszczając do produkcji.

dokończenie na str. 2

Z epoki Kollatajowskiej

FRANCISZEK SALEZY JEZIEŃSKI

Jerzy Ziomek

Niektóre wyrazy porządkiem abecadła zebrane i stosownymi do rzeczy uwagami objaśnione

(WYJĄTKI)

ARYSTOKRACJA jest przywłaszczaniem rządu i przewodzenie bezprawne w postaci prawa, usługując się pozorami jego powagi. Arystokraci mają znaczenie w kraju nabyte nieustannie, tak jak złodzieje mają dostatek nabyte kradzieżą. W Polsce chłop widzi arystokratę szlachcica, szlachcic widzi arystokratę pana. Pan widziałby siebie samego arystokratą w zwierciadle, ale ten widok zaraz zakrywa zasłona równości.

CZŁOWIEK. To słowo, oznaczające osobę ludzką, musi być w języku polskim wyrazem zagranicznym i obcym, bo jeżeli człowiek w polskim języku oznaczałby wspólną naturę jestestwa, więc Polska musiałaby mieć prawa człowieka, zabezpieczające jego własności i wolności, ponieważ zaś tego wszystkiego w Polsce nie ma, więc w polskim języku wyraz człowiek jest całe wyrażenie postronnym i obcym, nie mający znaczenia na umysłach wyrażającego jednolitych stanów Rzeczypospolitej 1).

EMANCYPACJA. Znaczący uwolnienie, wyzwolenie, nadanie wolności, czyli jej powrót. Wolność jest nadawczym panem Stwórcą, wolnym być jest przymiot własny człowieka, przeszkodą zaś używania wolności nie powinno być tylko albo słabość z niedołężnej natury, albo kara za występki ulonnej natury, i tak dzieć i szalony nie mogą mieć wolności, bo jej zażywanie byłoby dla nich szkoda. Winowajca w więzieniu nie może mieć wolności, bo by przez to sprawiedliwość cierpiała, lecz gdy dziecko dorosłe, szalony ozdrowiejący, więzień wypelniony karą, powraca się do wolności i ta wolność jego własność, takie dzieło powrócenia wolności nazywa się emancypacją i takiej tylko powrócenie wolności możemy mieć czyste wyobrażenie w sprawiedliwości porządku, resztę niewoli ludzkiej, gwałt, niesprawiedliwość zostaje przychylna.

Być właścicielem człowieka jest najokazalszym dziełem zuchwałości i dumy, obrócić siły człowieka samej woli swojej rozkazem na swój pożytek jest to ofiarę uczynić swojej chciwości. Lubo niewola nigdy nie była tak wygodną służebnicą bogactwa, jak równie wolności zażywanie wspólne.

Idą jednak narody za przesadą serca swojego skazanego zuchwałości i łakomstwem, zbierają bogactwa wyznaczając za narzędzie majątku swego cudzą niewolę, nie dając, podłość i nawet poniżając nalogi, a opuszczając świętą powinność człowieka, podług której wolę zużyć sił jego w znak wzajemnej umowy pod opieką prawa, więc by w prawdziwych koźrzych wyjednado wskórnia.

Rzecz szczególna w wieku oświeconym, że ludzie, ile ludzie czują prawdę, a ile ludzie składający rząd kraju, nie śmieją oddawać sprawiedliwości prawdzie, Polak w obszernej ziemi, plemięm płończym zwycięzców, przedaje chłopca z ziemią, bo przywiązany do ziemi, daruje chłopca darem dlatego, że Opatrzność opatrzyła jakim talentem, czasem daruje mu wolność z dobroci serca, albo z kaprysu fantazji. Szczególnym można nazwać wiek oświecony, gdyby tak skłonił umysł ludzki, aby i ci co panują mieli ludzi za ludzi, i ci co są niewolą, aby w bogatych panach nie widzieli wteści, tylko majątniejszych obywateli, utenczas emancypacja miałaby wyraz w Dykjonarzu nie mający potrzeby zażywania swego między ludźmi.

OBYWATELSTWO. Mieszkańcy kraju w jakimkolwiek narodzie są obywatelami; sposób ich życia zawsze wyrabia między nimi różnice i zakłada stany osobne. Stan pospółstwa i szlachecki są naturalnym podziałem obywateli. Stan szlachecki tak trzeba uważać w stanie politycznym, jak w królestwie natury rodzaj kamieni, kamienie są zbyt martwe,

zimne, twarde i nieużyte, ale kamienie są drogie, nazywają się kiejnotami i ozdabiają pięknosc natury ludzkiej. Stan zaś pospółstwa jest jak w królestwie natury ziemia, która nigdy nie jest prozującą, zawsze wyaje swoich roślin rodzaj i nawet same jej chwasty, ciernie i glogi zostają pożytkiem; ta ziemia będąc depłutą od ludzi, których żywność, może mieć we wnętrzu swoich kopolnie najrozrozszy kruszców, za które nawet kupują się szacowne kiejnoty, ale te miny nie zawsze są wiadome. Wyobrażenie ziemi, powszechnie matki w naturze, jest wyobrażeniem w obywatelstwie pospółstwa. Pospółstwo jest pracującą, wyjące narody, same jego przywary, grubianstwa, prostoty, pijanstwa są użyteczne pożytkowi majątnych tyte, nie z nędzy jeanyci może oyc korzyści dla drugich.

Zawsze wzgardzeni, tak jak ziemia zawsze depłutą, mogą mieć między sobą największych oonarotów, najdowcipniejszych miedrow i najłatwiejszych miedrow, ale to wszystko ukryte jak miny złota w ziemi.

Pokolenie nastaje i ustaje, czas trawi bytnosc ludzka na ziemi, a przypadek rzadki pokazuje człowieka ala użytku ludzi w obywatelstwie.

SZLACHCIC. Nic nie jest w Polsce znajomszego nad inną szlachcica, które oznacza osobny rod i osobne pokolenie w narodzie, szlachcic jest obywatel uprzywilejowany, jego nerby, genealogie, szereg przodków posiadających urzędy i dochody składają całą chwałę i uświetnienie imienia, wszystkich tej zachości zasady i gruntem jest rozlewianie krwi poprzedników, (jakby ci, co nie byli szlachtą, tylko wodę rozlewiali na wojnach) wyjawienie do tej zachości stanu szlacheckiego, ponieważ ma wsparcie od zasług w imieniu, czemu tymże samym wymiarem sprawiedliwości, nie ma onydy od skodolnych ojczyzny imienników? Kto posiada chwałę krwi przez sławne dzieła, powinienby wzajemnie otrzymywać obelgę przez szkodliwe bezprawia. Aleć wzięszy na szalę pamięci dzieje stanu rycerskiego w Polsce i poszedłszy uwagę jaki ten stan był kiedy wojował, a jaki znowu kiedy panować zaczął. W pierwszym widoku rozszerzył granice narodu swojego, w drugim utworzył konstytucję rządu krajowego, aby był jednolitym stanem i razem w sobie tylko Rzeczpospolitą.

URZĘDY. Jak oltarz jest miejscem i naczyniem ofiary w znaku religii, tak urząd człowieka jest miejscem i naczyniem do wykonania cnoty w społeczeństwie zastępach. Urzędy w swoim sprawowaniu się konieczne pomieścić cnoty albo występki i obojętnymi być nie mogą. Urzędnik, będąc osobą powszechną musi być sprawcą szczęścia, albo przeszkodą do uszczęśliwienia. Urzędy w społeczeństwach powinny się dostępować z ochotą czynienia przysługi i zdolnością przyzwia do tego i naowcas to dopiero uszanowanie i nagroda powinna za nimi następować, tak jak cień za ciałem następuje wśród światła. Lecz doświadczenie naucza, że do dostąpienia urzędów powodem jest łakomstwo i pycha a miasto zdolności upatrjuje się urodzenie szlacheckie.

Co zaś jest poniżające rozum i prawdę w nalogu rządu krajowego i w przyjętym mniemaniu, to zapewne to, że nie nie znaczące urzędy są w powołaniu, a istotnie potrzebne, w których sprawowaniu zawisło bezpieczeństwo interesów publicznych (jakim jest urząd trzymających pocztę) są zaniedbane w znaczeniu.

Franciszek Salezy Jezieński

1) Cały ten ustęp jest nawiązaniem do Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela uchwalonej w r. 1789 przez rewolucyjną Konstytuante francuską, praw, na które głuchy jest szlachecki sejm Rzeczypospolitej, tj. Stany Rzeczypospolitej.
2) Mina — w znaczeniu: kopalnia.

Ks. Franciszka Salezego Jezieńskiego nazywali współcześni „Wulkanem gromów Kuźnicy”, „prawą ręką Kollataja”, wsteczny mówili o nim „potwarca”. Był ów „Wulkan” postacią, którą interesowała się cała Warszawa lat 1788 — 1791. Reakcyjni zrywali się na pisma, w których Jezieński gromił magnaterię i ośmielał się wystąpić z obrońcą chłopów. Bardziej postępową część izby poselskiej oraz mieszczaństwo witały każdy nowy, dowcipny a złośliwy utwór księdza kanonika z nowym uznaniem. Nie kładł Jezieński



Hugo Kollataj

— obyczajem wielu pisarzy tego czasu — swego nazwiska na karcie tytułowej swych prac — mimo to opinia umiała prawie zawsze trafnie rozpoznać w anonimie najbliższego współpracownika Kuźnicy Kollatajowskiej.

Pochodził Jezieński z drobnej, chodackiej szlachty, gęsto zamieszkałej ziemi łukowskiej. Szczególna to była szlachta. Herb i kontusz zdobił takiego „szaraka” tak jak i zamożnego ziemianina, ale ułubstwo zmuszało go nieraz do wyślubiania się panu. Przekazał z czasem Jezieński obraz życia takiej szlachty na wspólny autobiograficzny utwór pt. „Jarosza Kutusinskiego herbu Dębora”, szlachcica łukowskiego uwagi nad stanem szlacheckim w Polsce” (1790).

Franciszek Salezy urodził się w roku 1740. Do szkół chodził prawdopodobnie w Łukowie, do pijarów. Zwykłym trybem, mając do wyboru karierę prawnika, żołnierza lub duchownego, został najpierw rejentem ziemskim. Najpierw, bo „jak” zaczęliśmy, próbował on kolejno wszystkich trzech zawodów.

Nieźle się wiodło młodemu Jezieńskiemu. Urząd rejenta był — jak wiemy — urzędem zyskownym. Dodajmy jeszcze, że w roku 1762 odziedziczył on, wraz z rodzeństwem, po ciocięcej siostrze cztery wsie. Jednakże — jak zaświadcza Kollataj we wstępie do „Niektórych wyrazów” (1791) — nie czuł Jezieński „powołania” do profesji prawniczej. Zaprzagnął wtedy zostać żołnierzem. Ojciec Franciszka trzymał w ordynacji ostrogskiej wieś Woronkowie. Na wsi tej ciążył obowiązek służenia w husarskiej chorągwi, utrzymywanej przez ordynata. Ojciec więc oddał tę wieś synowi, który zaciągnął się do służby w husarii.

Zadane wojny nie targaly podówczas Rzeczypospolitej, amatora wojaczki czekały rozleniwiające siodła dworskich zabaw pod bokiem księcia — ordynata Sanguszkii. Niepokojny to był duch — młody Franciszek. Nie mógł wysiedzieć na dworze i wyruszył, jako namiestnik chorągwi, przeciw zbuntowanym chłopom na Ukrainę. Późniejszy obrońca chłopów z braku innego nieprzyjaciela walczył z hajdamakami.

Niewątpliwie nie był to ten sam Jezieński, który pod koniec życia zajął się postępowymi, mądrymi pismami. Nie miał wtedy jeszcze czasu na lekturę i myślenie pan namiestnik husarskiej chorągwi. Żołnierskie hulanki, zabawy, uczył — oto co interesowało wówczas Jezieńskiego. Wreszcie roztrząsał wieś Woronkowie. Wtedy przyszło opamiętanie. Jezieński postanowił porzucić służbę wojskową i zostać księdzem. Wstąpił do klasztoru OO. Misjonarzy w Warszawie, gdzie skończył seminarium i został wyświęcony na księdza. Po wypróbowaniu stanu prawniczego, dworskiego i żołnierskiego, po zasmakowaniu życia obozowego, którego tepota i beznadziejność nie zaspakajały żywego i ciekawego umysłu, Jezieński przyjmuje święcenia.

Specyficzna cechą polskiego oświecenia jest między innymi i to, że wielu zwolenników reformy, wielu postępowych pisarzy rekrutowało się spośród duchowieństwa. Była to prosta konsekwencja stanu szkolnictwa w Polsce przed reformą Konarskiego i reform Komisji Edukacyjnej. Przeciwny szlachcic wybierający karierę prawniczą czy żołnierską, poprzestawał zazwyczaj na elementarnym wykształceniu. Wybitniejsi umysły, ludzie zdolni i inteligentni zdobywali wykształcenie częściej przez zawód duchownego.

Dla wielu nie — szlachty, jak np. dla mieszczaństwa Staszica satana była jedynym awansem społecznym, wielu zostało duchownymi z woli rodziców, nie oglądających się na powołanie syna. Tak powstała dość liczna kadra pisarzy — duchownych, ludzi światłych i postępowych, któ-

rym święcenia kapłańskie nie przeszkadzały bynajmniej prawić w duchu deistycznych myślicieli wieku, a niejednokrotnie nawet występować wprost przeciw Kościołowi.

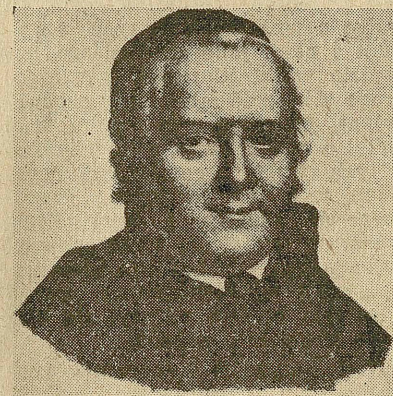
*

Z początkiem prac Sejmu Wielkiego w r. 1788 utworzył się w Warszawie pod kierunkiem Kollataja zespół publicystów, który współcześnie nazywaliśmy „Kuźnicą Kollatajowską”. Najbliższym współpracownikiem Kollataja został ks. Franciszek Jezieński. Zamieszkał on w domu Kollataja na Solcu, w tzw. „paszecie”. Zasiadał on niebawem jako radykalny publicysta i powieściopisarz. Zabrał się do pracy z niezwykłym zapałem. Rzucał na miasto i kraj — jak mówi niechętny mu Wolski — „odgłosy, pisma, druki, praestrogii i grozby, bezimiennie uszczypliwości i potwarze, w różną przybrałe formę”. Przechwalała się wiadomości — nie wiadomo czy prawdziwa — o tym, jak to ksiądz Jezieński w klubie „Przyjaciół Złoty” zamykał posiedzenia hasłem: „Co było na gorze będzie na dole, co było na dole, będzie na gorze”. Jeżeli nawet to powiedzenie miało należeć do legendy, która wyrasta wokół wybitnych ludzi, to świadczy ono przynajmniej o tym, że współcześnie wiaźli w ks. kanoniku trybuna rewolucji. Sprawdzimy, czy siusznie.

* * *

Był niewątpliwie Jezieński prawą ręką Kollataja. Wiedzieli o tym historycy, ale wyciągali z tego faktu zbyt pochopne wnioski. Władysław Smolenski w swojej Kuźnicy Kollatajowskiej pisze: „Program polityczny Jezieńskiego od Kollatajowskiego nie różni się niczym”. Jest to twierdzenie pośpieszne i bardzo ryzykowne, a wywodzi się ono z fałszywych założeń metodologicznych. Poglądy Jezieńskiego były oczywiście zbliżone do Kollatajowskich, ale też w wielu punktach znacznie się od siebie różniły. Można wyraźnie wskazać problemy, w których Jezieński jest zgodny ze swym mistrzem i określić gdzie się od niego różni i gdzie, wychodząc z podobnych założeń posuwa się dalej niż Kollataj, staje się bardziej radykalny.

Problemem, który obaj pisarze jednakowo ujmowali, był problem magnaterii. Kollataj w latach sejmów czterolietnich w następujących po sobie kolejno pracach nieraz korygował „poprzednie” wypowiedziane poglądy, „posuwał się naprzód lub cofał, na magnaterię patrzył jednak



Stanisław Konarski

zawsze w ten sam sposób. Zawsze była ona dla niego ością reakcji krajowej, niezmiennie oskarżał ją o przekupstwo, utrzymywanie anarchii, doprowadzenie kraju do upadku, o spiski, zdrady, intrzygi. Podobnie Jezieński we wszystkich pracach wytyczał przeciw magnaterii najcięższe zarzuty. W broszurze O bezkrólowości ze ściślością naukową wykazuje zgubną dla kraju rolę magnaterii w dziejach. W tym celu sięga do czasów sprzed oberalnych królów i twierdzi, że „możliwość dwóch państw, państwa Mięczyława II przez swą zuchwałość przyniosła do zniszczenia naród”. Goworek w założeniu jest powściągnięciem o zdradzie, podłości i intrzygach magnaterii.

Jezieński „powieściopisarz” mógł rozwinąć atak na magnaterię na szerszej linii. Kollatajowi w jego pismach politycznych trudniej było rozwinąć oskarżenie od strony moralnej — do tego celu nadawał się lepiej z zapałem uprawiany przez Jezieńskiego rodzaj powieści i pamfletu. Tak zatem zgodny ze swym mistrzem w poglądzie na magnaterię Jezieński uzupełniał Kollataja.

Podobnie całkowicie zgodny z poglądami Kollataja i całego Stronnictwa Patriotycznego był stosunek Jezieńskiego do zagadnienia oberalności tronu. Broszura O bezkrólowości w Polsce ze założenia, Goworek, Niektóre Wyrazy w odpowiedzi na fragmentach twierdzących, że Kollataj z wolną elekcją. Argumentacja była ta sama: elekcja jest dla magnaterii narzędziem ujarzmania politycznego szlachty, przepuszcza magnaterię ciągnie zyski z handlu koroną polską. Zaprawiał Jezieński polemikę ze zwolennikami wolnej elekcji lapidarnym dowcipem i celną ironią.

To, co Jezieńskiego wyróżnia od Kollataja i innych szlacheckich ideologów reformy, to sprawa samej średniej szlachty, problem szlacheckiego

wytłumaczenia korzyści płynące z sojuszu z mieszczaństwem, by uzyskać od niej aprobatę na dopuszczenie mieszczan do sejmu. Stał on jednak niezmiennie na stanowisku średniego szlachcica, gdy utworzeniem dwu izb osobnych: mieszczańskiej i szlacheckiej, wyposażonej w większe prawa, próbował zawarować szlachcie przewagę polityczną w kraju. Średnią szlachtę uważał Kollataj najwyraźniej za warstwę mającą w przyszłości do spełnienia wybitną misję historyczną. Był on przy tym wszystkich i tak bardziej postępowy od wielu działaczy Stronnictwa Patriotycznego, którzy w ogóle nie chcieli słyszeć o dopuszczeniu mieszczan do sejmu.

Wiemy, że w czasie trwania obrad sejmu, nasrosze warszawskiej ulicy były wrocie szlachcie, że w „klo-pach i kafenhausach” rozprawiano o stanach, o zniesieniu w ogóle słowa „stan”. Najlepszym jednak dowodem, że w tym czasie musieli dojrzywać klasowa świadomość mas plebejskich, będą wydarzenia późniejsze, wydarzenia warszawskiej insurekcji, której najbardziej bohaterkie karty stanowią wystąpienia ludu warszawskiego: rewolucyjne egzekucje zdrajców — arystokratów i biskupów i na koniec bohaterka obrona stolicy przed wojskami carskimi.

Za tymi żywiołowymi wystąpieniami nie nadążała rzecz prosta świadomość. Docierała do Polski echa rewolucji francuskiej i jej hasła, które mobilizowały lud, ale do kodyfikacji programu wyrażającego interesy ludu w tak krótkim czasie dojść rzecz prosta nie mogło. Jest jednak charakterystyczną cechą wszelkich wystąpień ludowych, że posiadają one wielką siłę oddziaływania na najlepsze jednostki klas panujących, przeciagają ich na swoją stronę, lub co najmniej rodzą sympatyki. Dość przypomnieć polskie jakobina, bohaterstwo generała Jakuba Jasińskiego.

Było to niewątpliwie dziełem narastających nastrojów rewolucyjnych wśród mas ludowych, że zachwiał się pogląd Jezieńskiego na szlachectwo. Zachwiał się, bo o przejęciu Jezieńskiego na stronę ludu mówić nie można.

Zdawać się mogło, że od drwiny ze szlachectwa niedaleko już do zdecydowanego opowiadania się po stronie plebejusza i chłopca. Tymczasem było inaczej.

Oceniając negatywnie rolę magnaterii w dziejach Polski, pisał Jezieński: „Jednym z zadań szlachty stałoby się na stanowisku średniego szlachcica. Jego interesem mierzyl Kollataj tak działalność magna a jak drogi rozwiązania sprawy chłopskiej. Inaczej Jezieński.

Publicysta — szlachcic przestawał się interesować chłopem, skoro tylko omówił żywo sprawy i interesy rolnictwa w kraju. I dlatego trzeba docenić w Jezieńskim chęć zającia się losem chłopca niezależnie od interesu szlachcica, tę umiejętność patrzeć na sprawę chłopca jako na problem sam dla siebie.

Posługując się pochwałą chłopca jako ostoi obyczajów i języka narodowego Jezieński oskarża o kosmopolityzm arystokrację, „nie szlachtę, której tylko zarzutem postawić by nie można. Jest jednak rzeczą charakterystyczną, że autor nie przeprowadza tego rozróżnienia. Mówi krótko: „szlachta w całej Europie... jest podobna do siebie”. Czyny to oświadczają bez jakiegokolwiek zamiaru, jednak ten drobny błąd jest dość znamienity: pokazuje, jak Jezieński stając po stronie chłopca do szlachty zaczyna przykładać te same miare, co do znieprawdzonej magnaterii.

W traktowaniu sprawy chłopca Jezieński różni się jak widzimy znacznie od typowego ideologa średniej szlachty, jakim był Kollataj. Kollataj przekonywał szlachtę o korzyściach odczynowania, przestrzegał ją przed zbyt obchodzeniem się z chłopem i wreszcie zżęcznie żonglował frazami humanitaryzmu. To wszystko znajdziemy u Jezieńskiego, ale znajdziemy ponadto i coś więcej. Znajdziemy ostrą ironię, sarkazm, a nieraz pogróżkę.

Nie trudno spostrzec, że to wszystko, co jest w twórczości Jezieńskiego najbardziej radykalne, zaprawione dowcipem, sarkazmem i ironią, ogranicza się wyłącznie do negacji, do strony krytycznej. Natomiast wszędzie tam, gdzie już trzeba postuluować, gdzie nie można poprzestać na krytyce, satyrze, pamfletach, Jezieński zmienia się gruntownie, przestaje być w... Kollataja. Tak, właśnie w Kollataja, właśnie Kollatajowski program rozpoznajemy w owym porównaniu społeczeństwa do organizmu ludzkiego. W tezie o konieczności otoczenia chłopca opieką prawa, ale i poprzestania na tym, bo przecież „kury nie będą się żywić brylantami” itd. Tak zatem postawione na początku zagadnienie stosunku Jezieńskiego do Kollataja można rozstrzygnąć w ten sposób: Jezieński wykracza w krytyce panujących stosunków daleko poza poglądy swego mistrza, w zakresie zaś postulatów przepisuje jedynie program polityczny Kollataja.

Inaczej być nie mogło. Przypomnę tu to, co powiedziałem wyżej o oddziaływaniu ruchów plebejskich na przedstawicieli klas posiadających. Bunt chłopiecki, nastroje warszaw-

skiej ulicy, nie mogły być pozbawione wpływu na ideologów szlachty. Jednych odstępowały od reform i spychały na coraz bardziej wsteczne pozycje. Najlepsze zaś jednostki spośród szlachty (należy do nich Jezieński, należy i generał Jakub Jasiński) pod wpływem żywiołowych ruchów plebejskich radykalizowały się, chociaż pochodzenie szlacheckie, wychowanie, siła tradycji, interes klasowy wpływały hamująco, nie pozwalały przejść na stronę mas plebejskich.

Jezieński wyszedł w ocenie wydarzeń politycznych poza program i interes średniej szlachty, przeciwstawił ograniczenia, jakie właścicielom folwarku nakładał interes klasowy. Ale doświadczył to stanowiska krytycznego poczuł się osamotniony — nie znalazł stronnictwa i programu politycznego, który by można skutecznie przeciwstawić średnioszlacheckiemu obozowi reformy. Widział i uważał prawo chłopca i plebejusza miejskiego do lepszego życia, wolnego od pańskiego bogactwa, ale nie dostrzegał potencjalnej przynajmniej rewolucyjności mas ludowych. Nie widział w ludzie przysięsili politycznej. Jezieński zaczął przemawiać szlachecki sposób myślenia, ale go przełamać nie zdołał.

Najbardziej wartościowe w twórczości Jezieńskiego, jest to, że wysuwając sprawę chłopca zawsze na pierwsze miejsce, umiał on tym samym dostrzec hierarchię ważności problemów epoki, że był on szczególnie uwrażliwiony na los chłopstwa polskiego, nie poświęcając mu osobnego rozdziału czy osobnego dzieła, ale wracając do niego nieustannie przy każdej okazji. Ostro i bezwzględnie krytyk panujących stosunków, nie umiał Jezieński wysunąć żadnych własnych postulatów politycznych. Szczególnie przy problemie chłopskim ujawnia się ta słaba strona Jezieńskiego, który stawia sam problem, ale nie umie go rozwiązać. Albo raczej korzysta z podsunętego mu przez Kollataja rozwiązania, które nie odpowiada stopniowi radykalizmu Jezieńskiego krytyka i pamfletysty. Dotyczy to również i innych problemów występujących w jego dziełach.

Drugą ważną zasługą Jezieńskiego jest umiejętność odmiennego niż u Kollataja spojżenia na szlachtę. W momencie, gdy szlachta staje się hegemonem w walce politycznej, Jezieński nie waha się wypowiedzieć pod jej adresem wielu gorzkich i ostrych uwag. To stanowisko było jednak zarazem ostatnim osiągnięciem Jezieńskiego. Odrzucał stanowisko średniego szlachcica Jezieński poczuł się pozbawiony oparcia. Niechętny szlachcie, nie mając własnego, powtarzał jej program polityczny. Nie przewidywał na tyle mentalności szlacheckiej, by widzieć w masach ludowych wielką potencjalną siłę polityczną. To było równocześnie jego zwycięstwem i klęską. Zwycięstwem krytyka szlacheckiego i klęską bezprogramowości.

Pisma Jezieńskiego ukazują się obecnie po raz pierwszy od 160 lat. Nie było rzeczy przypadku, że burzliwym historiografii lekceważył Jezieńskiego, że spychał go do drugorzędnych pisarzy epoki, że nawet najbardziej postępowi historycy burzyczyni, jak Smolenski widzieli Jezieńskiego za plecami Kollataja. Z Jezieńskiego próbowano zrobić bez zastrzeżeń wyznawcę programu Kollatajowskiego, programu ugody i sojuszu szlachecko - burżuazyjnego.

Jezieński zasłużył nie tylko na przypomnienie. Zasłużył, by — przynajmniej w swych najlepszych dziełach, jak np. Niektóre wyrazy — wejść do kanonu lektury szkolnej.

Postawiony nie za Kollatajem, ale conajmniej obok niego, wnoszą Jezieński do tradycji polskiej myśli postępowej dzieła proste, jasne i ciągle żywe.

Jerzy Ziomek

*) Fragment wstępu do wyboru pism Franciszka Salezego Jezieńskiego w oprac. Z. Skwarczyńskiego, który ukaże się nakładem PIW-u.

W poprzednim numerze

„WIES” Nr 7 (290)

W. Udański — W natarciu. W. Machcejk — Ku wiosnie. St. Cieślak — Początki rewolucji agrarnej. L. Borysow — Na wsi jugosłowiańskiej. L. S. — Pisma Nalkowskiego. W. Nalkowski — Ucieczka na „Jono natury”. L. Goliński — Nim zapiał koguty. P. Chmura — Kulak — faszysta. V. J. Jerome — Źródła rasizmu hollywoodzkiego. St. Pietak — Piętno hanby. Ta chwila. Na kartce. M. Salfiow-Szczedrin — Historia wielkiego miasta. M. Pieczyński — Wielki demaskator. Z. Macuzanka — „W Chinach urodził się Mao-Tse-Tung”. E. Martuszewski — We Włoszech de Gasperi. D. Kępczyńska — Wieś węgierska na przełomie. J. Moza — Czy nauczyciel to ślimak? W. Stelmach — Rysunki i wierszyki. A. Wera — Działy redakcyjne. J. Wacziński — Gazetki powielane. P. P. — Zadania P. Figwa — Trzeba dbać o „prawą rękę”. Stron 8. Ilustracji 20.

Młodzi gospodarze

(Dokonczenie ze str. 1)

Czyżby ci panowie trzymali niewygodną dla siebie, bo zbyt wścibską, bojową i czujną młodzież — specjalnie przy biurku zdaleka od gospodarstwa?

I tu jest jak wszędzie pole do walki dla silnej organizacji ZMP-owskiej. Młodzi nauczyli się dostrzegać w swojej zwykłej pracy, w każdej powszedniej sprawie i codziennym zdarzeniu, głębszy polityczny sens. Wielka to rzecz, gdy proste powszednie sprawy urosły w oczach młodzieży do pa-sjonujących faktów, którymi warto się dzielić, gdy w swym codziennym „szarym” życiu na wsi potrafią dostrzec bogatą treść budownictwa socjalistycznego, patos walki i przemian.

Oznacza to także, że młodzież przyswaja sobie bolszewicki styl

pracy, że idzie za wskazaniem Lenina.

„Jak najmniej napuszonych frazesów, jak najwięcej prostej powszedniej pracy... Jak najmniej politycznego trejkania, jak najwięcej uwagi dla najprostszego, ale żywych faktów budownictwa komunistycznego.” („Wielkie poczynanie”, Dzieła Wybrane, t. II cz. 2 str. 153 i 15).

Poruszyliśmy kilka zagadnień jakie wyłoniły się z przemówień tow. Romana Zambrowskiego i z dyskusji na Krajowej Naradzie Aktywno Wielejskiej ZMP. Zagadnień tych rzecz jasna nie wyczerpalimy. Ale i te nieliczne poruszone tutaj dają wyobrażenie o powadze i zakresie zadań, jakie stają przed nami na odcinku wiejskim.

O zagadnieniach tych trzeba pisać. Trzeba nimi żyć.

Edmund Niziurski

Wiersze o Puszkynie

SERGIEJ WASILIEW

Nasza sława

Gdy się wczytamy dzisiaj z serca drżeniem
W czarowną, żywą puszkiniowską pieśń,
Gdy przeżywamy z tym samym wzruszeniem
Jej słów dostojnych nieśmiertelną treść,

Gdy rozplomienia nas na każdej karcie
Miłość poety i surowy gniew —
Czujemy jasno, ostro, nieodparcie,
Że i w nas płynie jego mężna krew.

Bo to my przecież — z tegoż szczeru grona,
Wnieśliśmy szczęście do ojczystych stron.
To myśmy święte wyrzili imiona,
Gdzie stał despoty niewzruszony tron.

To z nas wolności wyrósł duch skrzydlaty,
To nas idea zwarła w jeden krąg
I wyrastają śmiało kombinaty
Z bicia serc naszych i wysiłku rąk.

To myśmy w wichrów polarnych wygonie
Badawczych stacji roznieśli blask
I na Sybirze szczepimy jabłonie
I nawadniamy martwy step i głaz.

To każdy z nas dziś wreszcie stał się panem
Swych własnych losów i serdecznych snów
I tak, jak chciał, języki rozśpiewane
Pojęły dziś wymowę jego słów.

To my z orłami przez błękity mknijemy
I okrywamy ziemię płaszczem żółtym.
To na nas świat w podziwie patrzy niemy
Z wyniosłych miast i niespokojnych mór.

To my glob ziemski, gdy nań faszyzm natarł,
Obroniliśmy od śmiertelnych dżum,
Bo to w nas właśnie widzi zbawców świata
Wyzyskiwani i gnębiony tłum.

To w nas ludzkości prawda i sumienie...
Słoneczny blask w gęstwinie mroków padł.
I puszkiniowskich strun bojowe brzmienie
Ojczystą chwałę naszą niesie w świat.

Tłumaczył Tadeusz Chrościelewski

MIRSAID MIRSZAKAR

On lud ukochał

Skarbnik legendy, baśni archaicznych
Poeta stroi instrument muzyczny.

Oto do ludzi kiszłaku pobiegła
Strofa odmienna nieco, bo odległa.

Właśnie przemawia przy wtórze muzyki
Sam Puszkini w dźwięcznym tadżyckim języku.

I do obłoków niedalekich wzłata
Podobna orłom górskim pieśń skrzydłata.

Wiersz tak mi bliski w dniach młodości marzeń
Zaśpiewał Tadżyk, siwowłosy starzec.

Wdzięczni słuchacze podchwycili lotem,
Na zboczach skalnym stojąc, pieśni motyw.

I nadleciawszy z pobliskich przełęcz
Ciepły wiatr ludzi w pieśni chciał wyręczyć.

Nad strzechą świata, nad węglami skały,
Gdzie nawet orły nie dolatywały,

Gdzie stoją lustra słoneczne — lodowce,
Błysnęły skrzydła w puszkiniowskiej strofoc.

On kochał takie podniebne pustynie,
Gdzie śmigle skrzydło ptasze nie dopłyne.

W żelaznym wieku, w katorżną noc ciemną
Z odwagą wolność wysławiał promienną.

I siły ludu, jego ziemi siły
W wiersze dzielnego poety wstąpiły.

On lud ukochał. Dlatego potomni
Wzniesli mu w sercach nieśmiertelny pomnik.

Tadżykiński poeta ludowy,
Głos jego pieśni w brzmieniu naszej mowy.

LUBOMIR DMITERKO

Michajłowskoje

„Czemu się młota wiatr w parowie?”
(A. Puszkini)

Czemu się młota wiatr w parowie
Śnieżycą okrywając świat,
Kiedy niepokój i w pustkowiu
I w świeży wiersz się wkradł,
Gdy w zawierusze nieprzejrzanej
Pielgrzym nie może znaleźć dróg
I w ojczyźnie ukochanej
Obmierzył więźniowi domu próg?

Więc dziś zazdrości snów dziewczynie,
Żywiom — mocy, ptakom — piór.
Czyż go na zawsze w tej krainie
Uwięził nakaz carskich biur?
Wiatr wieje, wieje przez pustynię
Przez zasypaną wieś i dwór.

A w dali, za bezkresem białym
Żołnierzy udurzonych wzrok,
I drży Senacki Plac struchlały,
Przechwytany buntowniczym krok...
W sercach płomiennych swych i czystych
Wolności święty słyszysz głos,
Z wyniosłym czołem dekabrysty
Idą spotykać twardej los.

On z nimi, z nimi — w Piotrogradzie.
Przez śniegi, przez rozległy szlak,
Ku lodowatej nowskiej wodzie
Myśl jego wrzaca mknąć jak ptak.

SVIATOPLUK CECHE

Mickiewicz i Puszkini

Kiedy ojczyste żegnał progi
Ów Polak — twórcą wolnej pieśni,
Puszkini — druh jego i rówieśnik
Był już wygnanym...

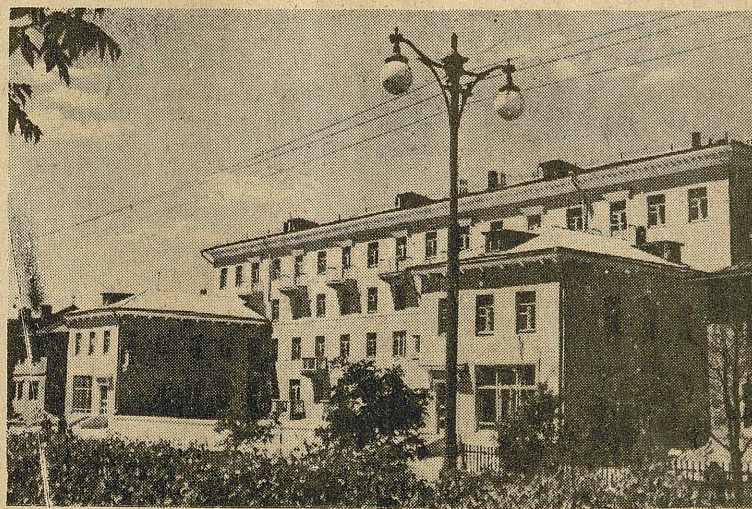
W los złowrogi
Piewę Ludmiły niosły konie
Nad Dniepr, po jarach i owragach,
A za nim wichur wiodł pogonię
I palił skroń i twarz mu smagał.

W krainie stepów i burzanów,
Gdzie niegdyś twardej bitew pożar
Pił krew rycerzy Lechistanu
I wolnych synów Zaporozja,

Gdzie zatarł dawnych walk mogiły
Step siwy, słońcem wykaszany —
Losy Zesłańców zespoliły
Carskie wyroki i kajdany.

Jednością wyzwoleniczych marzeń,
Przekleństwem słanym w noc tyranii
Zeszli się pieśni dwaj mocarze —
Natchniony Polak i Rosjanin.

Z dwóch ognisk wzbili się wspólny płomień
Serca się w jednym rytmie zbliżyły,
Gdy uściskali sobie dłonie
Wieszcz Dni przyszłych, niepodległych.



Stalingrad — nowe budynki na terenie fabryki traktorów. (Foto A.P.I.)

Franciszek Zawada

Stalingrad!

BYło to rok 1948. Stalingrad nazywał się jeszcze wówczas Caryncinem. Przeciwko młodej władzy radzieckiej wybuchła kontrrewolucja, białogwardystowskie szumowiny i kulactwo. Krwawym plomieniem rozgorzała wojna domowa. 14 państw kapitalistycznych wysłało swoje wojska dla rozwinięcia kontrrewolucji. Na rozkaz bankierów z londyńskiej City, nowojorskiej Wall Street, z Paryża i z Tokio idą miliony dolarów, funtów szterlingów i jen wraz z transportami materiału wojennego na utopienie we krwi „czerwonej zaryzy”.
Caryncin leży nad Wolgą. Na północ od niego jest drzewo, na południe pszenica, na zachód węgiel, na wschód nafta i bawełna. Kto ma Caryncin w rękach, ten ma Wolgę, ten trzyma obrzuceniej wagi punkt strategiczny, i kluczowy podłuszcz dla stolicy państwa radzieckiego ośrodek aprowizacyjny. Przecież 28 wielkich spółek akcyjnych w Donbasie o 70% produkcji było własnością angielskich i francuskich wyzyskiwaczy. Przecież 75% fabryk metalowych Donbasu, Caryncina, Rostowa do nich należało, choć były na ziemi rosyjskiej i rosyjski robotnik w nich pracował. Ale Caryncin podobnie, jak cały kraj, jest teraz w rękach władzy radzieckiej.

Zniszczyć czerwoną Kartaginę, czerwone Verdun, jak wtedy nazywano Caryncin, to znaczy przerwać rozwój radzieckich republik. 20 pulków białogwardystów i niemieckich uderza na Caryncin. Jest w Caryncinie bohaterski proletariatus, a z nim Stalin. Trzy razy wróg atakuje miasto. Trzy razy dostaje cieżki. Nadchodzi nowe dla niego posiłki. Angliści bombardują miasto z samolotów i pocągów pancernych. Olszyna jest przewaga liczebna i techniczna po stronie interwencji. Caryncin broni się do upadłego. Robotnik oddaje życie za młodą władzę radziecką, za swoją władzę, za wolność. Po roku heroicznych walk Caryncin wraca w ręce władzy robotniczej na zawsze. Republiki radzieckie przepędzają ze swoich granic najmitów Churchilla, Deterdinga, Wilsona, Hirohito, likwidują Wrangla, Koczakowa, Denikinowa.

Obraz, jaki widzieli żołnierze Armii Czerwonej przy wkraczaniu do uwolnionego miasta — to ruiny i zgłiszczona, do stupy telegraficzne i skostniałe drzewa, obwieszane trupami, to piwnice, zawalone poduszonymi kobietami, pomiażdżonymi komсомolcami, to Wolga, składająca na brzegu tysiące ciał bezimiennych męczenników. Tak Wrangel, najemnik imperializmu, uczył kultury i cywilizacji. Ten sam obraz miał się odsonić na ziemi radzieckiej, kiedy nowi „kulturragerzy” spod znaku swastyki ruszyli na wschód po Lebensraum. Ten sam obraz wy-

woływały hitlerowskie bandy w swym pochodzie przez Europę: Wawer, Lidice, Oradour sur Glane, krematoria Oświęcimia, krótki doświadczenie Buchenwaldu, ruiny Warszawy, abażury i rekwizyty, oprawne w skórę zamęczonych patriotów. Ten sam obraz ogląda dziś umęczony Phenian i Seul, tysiące miast i osiedli koreańskich, w których rozwinęła się amerykańska „kultura” i amerykański „styl życia”.

Rok 1920. W Caryncinie cholera i tyfus, spadkobierca białych. Rok 1921. Głód, byłoby wyróżnione przez najeźdźców, zdevastowane pola nie dają jeszcze plonów. Rok 1922. Caryncin oddycha głęboko. Mijają lata. Caryncin rośnie w siły. W roku 1925 przemianowany zostaje na STALINGRAD. Powstaje nowe, szczęśliwe miasto ludzi pracy, miasto potężnego przemysłu maszynowego i budowy traktorów, miasto staliniowskiego budownictwa.

Jest rano 17 czerwca 1930 roku. Na polach, które przed dziesięć laty broczyły krwią, stoi olbrzym, wielka fabryka traktorów, budowana przez ludzi radzieckich własnymi siłami. Pierwszy traktor opuszcza fabrykę. Stalingradzki traktor z fabryki imienia bohatera polskiego, Feliksa Dzierżyńskiego, rozpoczął swoją służbę dla rolnictwa, rz-

teżenia między siłami śmierci i siłami życia. Pablo Neruda w dalekim Meksyku rozlepił nocami na murach afisze. Na afiszach jego poemat. Nie, to poemat wszystkich ludzi, którzy pragną pokoju na świecie, skoro zaczyna się od słów: „MÓW CZY TO CZY SIĘ JESZCZE WALKA W STALINGRADZIE”.

Mów, czy toczy się jeszcze walka w Stalingradzie? — woła lud chiński, walczący z japońską i amerykańską inwazją. Woła lud Wietnamu, który pod najeźdźcą japońskim już pogrzebał umarłych z głodu dwa miliony braci. Wołają — Indonezja, Filipiny, Korea, Indie, Kauczuk, cyna i nafta, węgiel, miedź i złoto, żelazo, fosforyt i wolfram, ryż herbata i bawełna wydarte naszym krajom! Lud naszych narodów w niewoli kolonialnej! „Mów czy toczy się jeszcze walka w Stalingradzie?” — woła proletariatus i rewolucjonizowane chłopstwo na dalekich ładach.

A w Europie? W katołni hitlerowskiej w forcie Mont-Valerien przed salwą egzekucyjną na usta skazanych wybiega ostatnie, zwycięskie słowo: STALINGRAD! Franc-tireurzy Limoninska walczyli i krew na przestach: STALINGRAD! W Warszawie szaleje terror. Na ulicach „szare” samochody, tapanki i egzekucje. Krew ochla-

szepta dzieciom: módl się za Stalingradem.

Tak rodził się Obóz Pokoju, obóz milionów ludzi wszystkich narodów. Bo jak pisał Erenburg „ludzie Stalingradu ginęli za swoją wioskę rodziną, za pieśń zastyszczoną w dzieciństwie, za lud radziecki, a jednocześnie ginęli za wszystkie wsie Europy, za pieśń wszystkich ludów i za lud całego świata”.

Czy wiecie, że w Stalingradzie o kilkadziesiąt metrów za pierwszą linią frontu pracowały radzieckie fabryki traktorów? Pod huraganowym ogniem artylerii, pod nieustannym bombardowaniem z samolotów. Między 10 stycznia a 2 lutego 1943 r. armia marszałka Rokossowskiego, syna robotniczej Warszawy, wykonując strategiczny plan Stalina, zadała ostateczny cios nieprzyjacielowi. Dwie główne armie niemieckie przestały istnieć.

Więść o zwycięstwie leci na cały świat. Śpiewa Ludowa Armia Chłńska nową piosenkę poety: „Stalin czuwa nad nami Nad naszym zwycięstwem,

Ho, hay! Dlatego nad rzeką Jang Wiosenny wiatr już w styczniu wieje”.

Od tego stycznia upłynęło 8 lat. Na pola radzieckie znów idą z wielkich fabryk im. Dzierżyńskiego tysiące i dziesiątki tysięcy traktorów. Powstaje gigantyczna budowla komunizmu — stalingradzka hydroelektrownia. W kraju Rad przebiega się góry, tacy rzeki, ulepsza klimat, buduje „agorogrody”. Oto drogowskaz dla wyzwolonych krajów, gdzie lud wziął władzę. Ale tam wszędzie gdzie ją wziął — pamiętajcie — kamieniem węgielnym wyzwolenia i rewolucji był STALINGRAD.

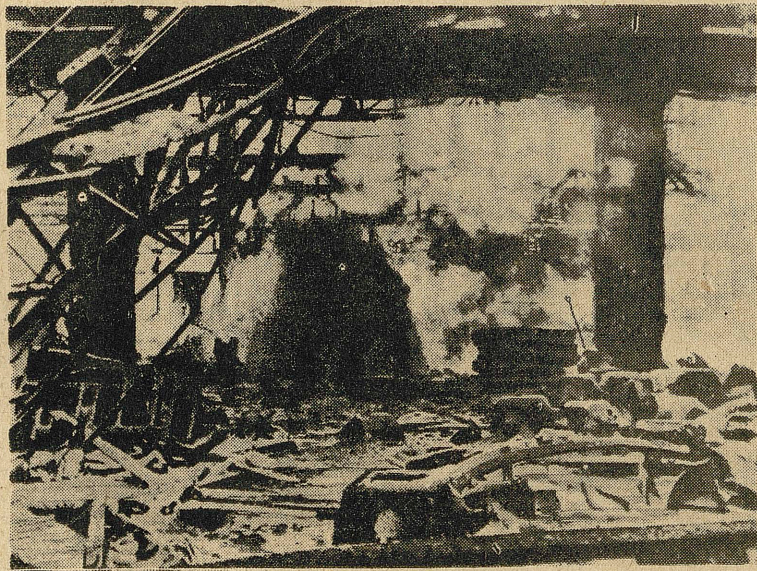
Dla krajów demokracji ludowych, dla Chin Ludowych!

A kiedy Malaje i Indonezja stają dziś w ogniu walk narodowo-wyzwoleniczych, kiedy Wietnamczycy przepędzają Bao-Daja wraz z kolonialnym grabieżcą, kiedy na Korei amerykański agresor cofa się przed bohaterskim oporem ojczyzny ludem koreańskim, kiedy w Indiach, w Pakistanie wrze gniew ludu, kiedy jak mówi poeta:

„W ty!” — wzywa Szanghaj w wyzwoleńskich Chinach „W ty!” — rozkazuje z nad skał oceanu

Zestaniec Tauryty i jeniec z Wietnamu”, nie zapominajcie, że nowymi siłami i nowymi marzeniami uskrzydlił lud „kolonialne” STALINGRAD!

Kiedy we Włoszech i Francji wielomilionowe partie komunistyczne odkryły imperiały z Wall Street: nie będziemy walczyć przeciw Związkom Radzieckim, kiedy robotnicy Wenecji, Triestu, Marsylii, Barcelony i Hamburga w morze spychają eisenhowerowskie tadun-



Walki w ruinach fabryki traktorów w Stalingradzie (Foto A. P. I.)

cając się pod nowe, zwycięskie życie ludu pracującego. Za nim poszły setki, tysiące nowoczesnych traktorów, które jak pociski rozsadały stary świat zacofania i nędzy, ścieśląc drogę pod nowe, szczęśliwe życie dla milionów.

Jest rok 1942. Świat, jak długi i szeroki wstępuje się w odgłosy bitwy, która dosięga najwyższego na-

ki broni, kiedy lud Francji, Włoch, Anglii i Niemiec Zachodnich woła: „Eisenhower, za Ocean!” Kiedy potężnie światowy Obóz Pokoju, a jego Rada wyrasta na rzeczywiste Zgromadzenie Narodów — pamiętajcie, że temu wielkiemu frontowi pokoju i rewolucji, czyli woli do lepszego i spokojnego jutra początek dał STALINGRAD, bo „ludzie Stalingradu ginęli za swoją wioskę rodzinną, za pieśń zastyszczoną w dzieciństwie, za lud radziecki, a jednocześnie ginęli za wszystkie wsie Europy, za pieśń wszystkich ludów i za lud całego świata”.

Jeżeli w Niemieckiej Republice Demokratycznej rządzi lud i pod przewodnictwem Wilhelma Piecka wskazuje wszystkim Niemcom nową treść jednolitej narodowej, nową drogę pracy i walki o pokój, jeżeli poeta niemiecki zwraca się do naszej ojczyzny, której:

Dąbrowskiego lud i lud Bieruta już nie przeklnie wteńce Niemca —

będzie Marksa w nas, Liebknechta w nas, Kautskiego w nas,

to dlatego że STALINGRAD ZŁA. MAŁ HITLERYZM i wyzwolił w narodzie niemieckim siły ludowe i odrzucił niemiecką klasę robotniczą.

A jeżeli dziś Waszyngtonowi nie wystarczą już nawet hitlerowskie

generałowice, jeśli Waszyngton potrzebuje teraz hitlerowskich fabrykantów śmierci, budowniczych pieców krematoryjnych, założycieli obózów śmierci — to cóż nam bardziej wypada przypomnieć jak nie STALINGRAD!

„Nigdy złowiesz cię nowej wojny — pisał niedawno Erenburg — nie podkradał się tak blisko do oświetlonych okien domów, w których matka pochyliła się nad swym pierworodnym. Ale nigdy jeszcze zwykły człowiek, który poprzysiągł sobie chronić wszystkie dzieci świata od nowego cienia wojny, nie miał tyle zapału, tyle woli, tyle siły”.

Przypomnijmy raz jeszcze Stalin. gród Rozszerzył on wolność narodów i ludów na jedną trzecią część świata, na jedną trzecią świata rozszerzył sprawiedliwość, gwarantując szczęśliwego życia i pokój.

Bo „ludzie Stalingradu ginęli za swoją wioskę rodzinną, za pieśń zastyszczoną w dzieciństwie, za lud radziecki a jednocześnie ginęli za wszystkie wsie Europy, za pieśń wszystkich ludów i za lud całego świata”.

Pamięć STALINGRADU to źródło naszego zapału, woli i siły. Ale również niechaj pamiętają o Stalingradzie geseftarce wojenni!

FRANCISZEK ZAWADA

Henryk Worcell

Uwaga, własność ludowa!

(Fragmenty z protokołu posiedzenia Rady Gminnej w Mokrzyskach Górnych)

ZACZEŁO się całkiem konwencjonalnie. Najpierw nieodzwonne zagajenie, potem wybór przewodniczącego i odczytanie protokołu z poprzedniego posiedzenia. Trwało to dosyć długo, sekretarz Prezydium, Puławski, czytał powoli pięć bitych stron maszynopisu, więc ten i ów z radnych zapalał papierosa i w rozróżnieniu omiatał wzrokiem pajęczynę pod sufitem, niekiedy nachylał się do sąsiada szepcząc mu na ucho. Prawie wszyscy zebrani przyodziani byli w kurki robocze, przyszli tu wprost ze swoich obór, zdążywszy zaledwie umyć ręce i zmienić obuwie. Nawet sekretarz Komitetu Gminnego P.Z.P.R., Paździor, siedział w zabłoconych, gumowych butach, które były mu tak niezbędne w ten słoty i błotny listopad. W rażącym świetle żarówki twarze i oczy tych ludzi wydały mi się bardziej wyraziste niż za dnia, surowe, poważniejsze, mądrejsze. Przypatrzyłem się mimowo zadawałem sobie pytanie, czy zdają sobie oni sprawę, jaką posiadają władzę, czy są świadomi, że większość głosów mogą powołać uchwały, które przyspieszą wykonanie Planu 6-letniego, przeobrażą kraj, uczynią ten olbrzymi skok naprzód, który się nazywa rewolucją? O czym myślił np. Witecki, sekretarz Podst. Org. Part. z Gradoszowa? Twarz jego chuda, o zapadłych policzkach i powiekach przez okulary oczach, uparcie wpatruje się w jeden punkt na podłodze. Czy Witecki skupił uwagę wyłącznie na głosie Puławskiego, czy może myśli jego ogarnia całą gminę, województwo polskie, cały kraj długi i szeroki? A sołtys Gruska z Hodurowic? Naburmuszył jakos swą pękłą, purpurową twarz i swidrującymi oczkami strzela po zebranych, czasem mrugnie do kogoś porozumiewawczo — i wtedy wiem, że człowiek ten całym sobą tkwi wśród tutejszych ludzi i wśród spraw ściśle związanych z gminą Mokrzyska Górne. Natomiast sołtys Karpiel z Mokrzysk wtulił głowę między ramiona i wybałuszyl oczy jak zając na miedzy, gdy go psy zachodzą. Obok mnie, pełniąc funkcję protokolanta, siedzi człowiek, z którym — choć wiem dlaczego — najmniej sympatyzuję: to Hrynczuk, kierownik młynów w Gradoszowie i Bobrownikach i zarazem przewodniczący dzisiejszego zebrania. Jego pewność siebie, swada i nonszalancja, z jaką przewodniczy zebraniom, drażni mnie i imponuje zarazem. Ot i teraz gdy go jednogłośnie wybrano na przewodniczącego oświadczył zgrabnie, że stawia warunek: iż podczas następnych posiedzeń przewodniczyć będą coraz to inni radni.

— Przypustujemy do punktu trzeciego: walka z analfabetyzmem. Udziałem głosu kierownikowi szkoły, radnemu Puławskiemu.

Kierownik Pokrzywa, młodzien postawny, zdyscyplinowany w słowach i ruchach, powstał z krzesła, poruszając zapisanym arkuszem papieru. Z jego relacji wynikało, że na terenie całej gminy znajduje się czterdziestu dwóch analfabeta, w tej liczbie dwudziestu czterech w wieku ponad pięćdziesiąt lat. Kursy dla tych młodszych rozpoczyna się nie wcześniej jak z początkiem grudnia, a to ze względu na roboty polne, które tej jesieni wskutek ciągłych deszczów zostały opóźnione.

— Można jednak z całą pewnością twierdzić — zakończył swe sprawozdanie — że do pierwszego maja w gminie naszej nie będzie ani jednego analfabety, pomijając oczywiście tych starych, ponad pięćdziesiąt.

Zaledwie skończył, sołtys Gruska podniósł rękę na znak, że chce mówić. — Kierowniku, nie gniewajcie się, ale wam powiem coś do słuchu. Wasz poprzednik, Mielutski, też prowadził kurs zeszedł zimy i też nam obiecywał, że do wiosny ani jednego analfabety nie będzie. A tu przyszły do gminy dwie takie, co ma kurs chodzący. Wiekowa i Krzyżotka — i jak im Puławski dał papiery do podpisania, to żebyśmy nie skamiali, przez ten czas jak się podpisywały mogłem nie tylko papierosa, ale i fajkę wykurzyć.

Rozległy się śmiechy rechotliwe, tubalne, zaśmiał się też kierownik Pokrzywa i odpowiedział, że może być spokojny, gdyż dla tych niedouczonych będą osobne kursy i na pewno sołtys Gruska nie będzie musiał kurzyć fajki.

— Inna rzecz — dodał poważniejąc nagle — że ja jestem dopiero od września i ludzi nie znam. Jestem pewny, że znajdą się oporni, którzy na kurs nie zechcą chodzić. Rzecz jasna, zrobię co będę mógł, ale liczę także na waszą pomoc. Czy jest tu kto z Komisji Oświatowej?

Owszem są tacy: radna Kaszowska, akuszerka z sąwodu — i ja. W jednym z punktów dzisiejszych obrad mieliśmy oboje złożyć sprawozdanie z działalności naszej Komisji i poruszyć również sprawę walki z analfabetyzmem.

W tej chwili drzwi się otworzyły, wszedł woźny Karolek.

— Pani Kaszowska — zawołał od progu — przyjechali po pani!

— Skąd? — Zamiast odpowiedzieć, zza drzwi i pleców woźnego wychylił się chłop niskiego wzrostu, z batem w ręce, w kurtce z podniesionym kołnierzem i mokrej od deszczu.

— A, Majchrzak z Hodurowic — owożo się kilka głosów, ktoś dodał: „Szczęśliwego porodu!”, a radna Kaszowska jęła szybko zapinać na sobie płaszcz i przebiecła między krzesłami ku drzwiom. Tam zatrzymała się na sekundę, spojrziała w stronę stołu przydziałnego,

jakby chciała coś ważnego powiedzieć, może prosić o przebaczenie, że dłużej nie może brać udziału w posiedzeniu, zmilczała jednak i zafalowana, patrząc pod nogi poszła w ślad za oddalającym się gospodarzem.

— Znowu, psiakość, w naszej gromadzie przybędzie jeden analfabeta — bąknął sołtys Gruska.

To chwilowe zamieszanie przedłużyło się jakby w pauzę, zebrani gęście zapalili papierosy, podniósł się gwar rozmów, siedzący przy oknach spojrzeli na szyby, po których spływały lśniąca krople deszczu.

— Proszę o spokój! — zawołał wreszcie przewodniczący Hrynczuk — Przypustujemy do punktu czwartego: sprawozdanie z działalności poszczególnych komisji. Pierwsza złoży sprawozdanie komisja rolno.

Mnie działalność tej komisji znała była stąd, że na podstawie materiału dostarczonego przez jej członków niedawno pisałem dla nich pro-

— a Wasz sztab spółdzielczy go... w „drobiezgi”? Co się tam dzieje, prezecie Turzycki? Wy to musicie wyświecić i siebie też przeświecić... i ja uważam, że dla dobra ogółu naszym obowiązkiem jest, prezesa Turzyckiego ukarać przynajmniej ostrą nagana.

— Racja, racja — przytaknął sekretarz Paździor.

Sprawę poddano pod głosowanie i znaczna większość radnych zdecydowanie podniosła ręce w górę, zadając nagany dla prezesa spółdzielni.

— Proszę to zanotować — powiedział do mnie przewodniczący Hrynczuk, a sekretarz Witecki błysnął okularami w stronę Turzyckiego.

— Wy, towarzyszu, nie miejcie do mnie urazy, bo to nie jest moja osobista sprawa. Chyba rozumiecie teraz, że mam rację. No, mam rację, czy nie?

— Może — odrzekł Turzycki, dmuchnął dymem pod sufit i mocno stłamsił butem niedopałek na pod-

ło. Było wiadomo, że jak rolnik nie sprzedaje zboża, to rolnik nie wybuduje fabryki. A ja tu widzę, że trójki gromadzkie i sołtysi nie pracują jak trzeba i sami zły przykład dają. Bo jak mi wiadomo, to sołtys Karpiel ma zobowiązanie na trzydzieści cztery metry zboża, a dotychczas odstawił dopiero osiem metrów. A wy, Kozłowa — wskazał brodą na radnego z Gorajec, który siedział obok Mikulę — też do trójki należycie, a nie odstawiliście jeszcze ani połowy zboża. I takich się więcej znajdzie. Ja powiadam, do czorta z taką robotą! Bo jak trójki i sołtysi nie wykonają planu, to co powie zwykły gospodarz? „Ty chcesz, żebyśmy ja zdał, a czemu ty chowasz zboże po srychu? Tyś chytry, to ja jeszcze będę chytrzejszy i nie nie odstawię!” Nie, obywatelu, tak nie może być. Do pierwszego grudnia wszystkie aktywiści, wszystkie trójki i radni i sołtysi i partyjni zboże muszą odstawić, plan musi być wykonany! A druga rzecz — to jest dowiedzione — że w Gorajcach gospodarze sprzedają zboże rozmaitym przybłędem, kupcom wędrownym. Tu pół metra, tam metr, i tego się uzbiera parę ton. To nie jest gospodarka socjalistyczna, to robienie nie można. Państwo musi mieć zboże w ewidencji, musi z góry wiedzieć, ile tego zboża jest do dyspozycji, komu go przydzielić, gdzie przetrzymać. I co jeszcze powiem, to mamy po gromadach bogaczy, którzy jeszcze nie nie mieli. Taki Smolek w Gorajcach, taki Winkler, Łoboda i jeszcze inni dotychczas się z młócką wstrzymują. Pytam się, na co oni czekają? Bo jeżeli myślą, że w ten sposób zatrzymają zboże dla własnych kombinacji, to się grubo mylą. Rolnik na chleb nie będzie czekał! — tu Paździor uderzył dłonią w stół i milcząc chwilę patrzył na zebranych. Po czym znowu zaczął jakby w zamysleniu rysować kółka po stole i wreszcie skończył swą przemowę tymi słowami:

— Ja myślę, że do tych gospodarzy, którzy jeszcze nie mieli, powinniśmy wy sami przemówić. Takiemu Smolekowi, takiemu Winklerowi nie mieści się w głowie, że ktoś może patrzeć dalej niż na koniec własnego nosa. Możecie im powiedzieć, że jak się nie wezmą do młocki, to zrobimy im omłot przymusowy. Nie chcą sami, to im gromada omłóci. Skończyli się te czasy, że jeden siedział na pełnych workach, a drugi patrzył i ślinę lyla!

Utkwiły mi w pamięci twarze dwóch ludzi: radnego Kozłowej i sołtysa Karpiela. Kozłowa na przykład Paździora zareagował otwartym, mocnym spojrzeniem, odniósł nawet wrażliwość, że coś w rodzaju hardości odbiło się na jego masywnej, wąsatej twarzy. Natomiast sołtys Karpiel na dźwięk swego nazwiska drgnął oczami jak zając, który usłyszał zaledwie czekanie psa, i jeszcze mocniej wtulił uszy między ramiona. Nie trudno było mi się domyśleć, co ten człowiek czuje: w domu całkowicie uległ żonie i teściowej, które nie pozwalały mu odwieźć zboża do spółdzielni, tu zaś, jako sołtys i członek gromadzkiej trójki, chciał być w porządku wobec wymagania aktywu. Być może, liczył na pobłażliwość z racji swych zajętych stosunków z przewodniczącym Prezydium G.R.N., Patulskim, tymczasem — jak się w chwili później okazało — właśnie tenże Patulski wystąpił przeciwko niemu w sposób zgoła nieoczekiwany.

— Uwaga! Proszę o spokój! — zawołał przewodniczący Hrynczuk — przypustujemy do punktu piątego: akcja skupu zboża.

Jakby prąd elektryczny przeleciał po zebranych; twarze Kozłowej

łódze. Pomyślałem sobie: „to się dopiero zaczyna”. Od dłuższego czasu obserwowałem dorywczo dwóch radnych siedzących pod oknem: Mikulę z Bobrownik i Kozłową z Gorajec. Obaj ujawniali duże zainteresowanie dla omawianych spraw, w tej chwili pochylali się ku sobie komentując zapewne wypowiedzi Witeckiego. O ile sobie przypominam, to na poprzedniej sesji Rady tak Mikulę jak i Kozłową występowali jako oponenty w sprawie skupu zboża, doszło nawet wtedy do ostrego starcia między Kozłową a przewodniczącym Prezydium G.R.N. Patulskim. Dziś Patulski — pamięając jego krótkie zagajenie — głosił jeszcze nie zabierał. Siedząc przy stole prezydałnym między Puławskim a Paździoriem namyślnie kreślił coś ołówkiem po papierze i od czasu do czasu rzucał bryskiem spojrzenia na zebranych. Młody jeszcze, słabo wykształcony, nie orientował się w zawiłych sprawach administracji gminnej i sam mógł żartobliwie o sobie, że jest „niegramotny”, natomiast znał dobrze swój teren i mieszkając w wieloletniej piecu gromad, był przeto doskonałym uzupełnieniem „teoretyka” Puławskiego.

— Uwaga! Proszę o spokój! — zawołał przewodniczący Hrynczuk — przypustujemy do punktu piątego: akcja skupu zboża.

Jakby prąd elektryczny przeleciał po zebranych; twarze Kozłowej

łódze. Pomyślałem sobie: „to się dopiero zaczyna”. Od dłuższego czasu obserwowałem dorywczo dwóch radnych siedzących pod oknem: Mikulę z Bobrownik i Kozłową z Gorajec. Obaj ujawniali duże zainteresowanie dla omawianych spraw, w tej chwili pochylali się ku sobie komentując zapewne wypowiedzi Witeckiego. O ile sobie przypominam, to na poprzedniej sesji Rady tak Mikulę jak i Kozłową występowali jako oponenty w sprawie skupu zboża, doszło nawet wtedy do ostrego starcia między Kozłową a przewodniczącym Prezydium G.R.N. Patulskim. Dziś Patulski — pamięając jego krótkie zagajenie — głosił jeszcze nie zabierał. Siedząc przy stole prezydałnym między Puławskim a Paździoriem namyślnie kreślił coś ołówkiem po papierze i od czasu do czasu rzucał bryskiem spojrzenia na zebranych. Młody jeszcze, słabo wykształcony, nie orientował się w zawiłych sprawach administracji gminnej i sam mógł żartobliwie o sobie, że jest „niegramotny”, natomiast znał dobrze swój teren i mieszkając w wieloletniej piecu gromad, był przeto doskonałym uzupełnieniem „teoretyka” Puławskiego.

— Uwaga! Proszę o spokój! — zawołał przewodniczący Hrynczuk — przypustujemy do punktu piątego: akcja skupu zboża.

Jakby prąd elektryczny przeleciał po zebranych; twarze Kozłowej

łódze. Pomyślałem sobie: „to się dopiero zaczyna”. Od dłuższego czasu obserwowałem dorywczo dwóch radnych siedzących pod oknem: Mikulę z Bobrownik i Kozłową z Gorajec. Obaj ujawniali duże zainteresowanie dla omawianych spraw, w tej chwili pochylali się ku sobie komentując zapewne wypowiedzi Witeckiego. O ile sobie przypominam, to na poprzedniej sesji Rady tak Mikulę jak i Kozłową występowali jako oponenty w sprawie skupu zboża, doszło nawet wtedy do ostrego starcia między Kozłową a przewodniczącym Prezydium G.R.N. Patulskim. Dziś Patulski — pamięając jego krótkie zagajenie — głosił jeszcze nie zabierał. Siedząc przy stole prezydałnym między Puławskim a Paździoriem namyślnie kreślił coś ołówkiem po papierze i od czasu do czasu rzucał bryskiem spojrzenia na zebranych. Młody jeszcze, słabo wykształcony, nie orientował się w zawiłych sprawach administracji gminnej i sam mógł żartobliwie o sobie, że jest „niegramotny”, natomiast znał dobrze swój teren i mieszkając w wieloletniej piecu gromad, był przeto doskonałym uzupełnieniem „teoretyka” Puławskiego.

— Uwaga! Proszę o spokój! — zawołał przewodniczący Hrynczuk — przypustujemy do punktu piątego: akcja skupu zboża.

Jakby prąd elektryczny przeleciał po zebranych; twarze Kozłowej

łódze. Pomyślałem sobie: „to się dopiero zaczyna”. Od dłuższego czasu obserwowałem dorywczo dwóch radnych siedzących pod oknem: Mikulę z Bobrownik i Kozłową z Gorajec. Obaj ujawniali duże zainteresowanie dla omawianych spraw, w tej chwili pochylali się ku sobie komentując zapewne wypowiedzi Witeckiego. O ile sobie przypominam, to na poprzedniej sesji Rady tak Mikulę jak i Kozłową występowali jako oponenty w sprawie skupu zboża, doszło nawet wtedy do ostrego starcia między Kozłową a przewodniczącym Prezydium G.R.N. Patulskim. Dziś Patulski — pamięając jego krótkie zagajenie — głosił jeszcze nie zabierał. Siedząc przy stole prezydałnym między Puławskim a Paździoriem namyślnie kreślił coś ołówkiem po papierze i od czasu do czasu rzucał bryskiem spojrzenia na zebranych. Młody jeszcze, słabo wykształcony, nie orientował się w zawiłych sprawach administracji gminnej i sam mógł żartobliwie o sobie, że jest „niegramotny”, natomiast znał dobrze swój teren i mieszkając w wieloletniej piecu gromad, był przeto doskonałym uzupełnieniem „teoretyka” Puławskiego.

— Uwaga! Proszę o spokój! — zawołał przewodniczący Hrynczuk — przypustujemy do punktu piątego: akcja skupu zboża.

Jakby prąd elektryczny przeleciał po zebranych; twarze Kozłowej

łódze. Pomyślałem sobie: „to się dopiero zaczyna”. Od dłuższego czasu obserwowałem dorywczo dwóch radnych siedzących pod oknem: Mikulę z Bobrownik i Kozłową z Gorajec. Obaj ujawniali duże zainteresowanie dla omawianych spraw, w tej chwili pochylali się ku sobie komentując zapewne wypowiedzi Witeckiego. O ile sobie przypominam, to na poprzedniej sesji Rady tak Mikulę jak i Kozłową występowali jako oponenty w sprawie skupu zboża, doszło nawet wtedy do ostrego starcia między Kozłową a przewodniczącym Prezydium G.R.N. Patulskim. Dziś Patulski — pamięając jego krótkie zagajenie — głosił jeszcze nie zabierał. Siedząc przy stole prezydałnym między Puławskim a Paździoriem namyślnie kreślił coś ołówkiem po papierze i od czasu do czasu rzucał bryskiem spojrzenia na zebranych. Młody jeszcze, słabo wykształcony, nie orientował się w zawiłych sprawach administracji gminnej i sam mógł żartobliwie o sobie, że jest „niegramotny”, natomiast znał dobrze swój teren i mieszkając w wieloletniej piecu gromad, był przeto doskonałym uzupełnieniem „teoretyka” Puławskiego.

— Uwaga! Proszę o spokój! — zawołał przewodniczący Hrynczuk — przypustujemy do punktu piątego: akcja skupu zboża.

Jakby prąd elektryczny przeleciał po zebranych; twarze Kozłowej

łódze. Pomyślałem sobie: „to się dopiero zaczyna”. Od dłuższego czasu obserwowałem dorywczo dwóch radnych siedzących pod oknem: Mikulę z Bobrownik i Kozłową z Gorajec. Obaj ujawniali duże zainteresowanie dla omawianych spraw, w tej chwili pochylali się ku sobie komentując zapewne wypowiedzi Witeckiego. O ile sobie przypominam, to na poprzedniej sesji Rady tak Mikulę jak i Kozłową występowali jako oponenty w sprawie skupu zboża, doszło nawet wtedy do ostrego starcia między Kozłową a przewodniczącym Prezydium G.R.N. Patulskim. Dziś Patulski — pamięając jego krótkie zagajenie — głosił jeszcze nie zabierał. Siedząc przy stole prezydałnym między Puławskim a Paździoriem namyślnie kreślił coś ołówkiem po papierze i od czasu do czasu rzucał bryskiem spojrzenia na zebranych. Młody jeszcze, słabo wykształcony, nie orientował się w zawiłych sprawach administracji gminnej i sam mógł żartobliwie o sobie, że jest „niegramotny”, natomiast znał dobrze swój teren i mieszkając w wieloletniej piecu gromad, był przeto doskonałym uzupełnieniem „teoretyka” Puławskiego.

— Uwaga! Proszę o spokój! — zawołał przewodniczący Hrynczuk — przypustujemy do punktu piątego: akcja skupu zboża.

Jakby prąd elektryczny przeleciał po zebranych; twarze Kozłowej

łódze. Pomyślałem sobie: „to się dopiero zaczyna”. Od dłuższego czasu obserwowałem dorywczo dwóch radnych siedzących pod oknem: Mikulę z Bobrownik i Kozłową z Gorajec. Obaj ujawniali duże zainteresowanie dla omawianych spraw, w tej chwili pochylali się ku sobie komentując zapewne wypowiedzi Witeckiego. O ile sobie przypominam, to na poprzedniej sesji Rady tak Mikulę jak i Kozłową występowali jako oponenty w sprawie skupu zboża, doszło nawet wtedy do ostrego starcia między Kozłową a przewodniczącym Prezydium G.R.N. Patulskim. Dziś Patulski — pamięając jego krótkie zagajenie — głosił jeszcze nie zabierał. Siedząc przy stole prezydałnym między Puławskim a Paździoriem namyślnie kreślił coś ołówkiem po papierze i od czasu do czasu rzucał bryskiem spojrzenia na zebranych. Młody jeszcze, słabo wykształcony, nie orientował się w zawiłych sprawach administracji gminnej i sam mógł żartobliwie o sobie, że jest „niegramotny”, natomiast znał dobrze swój teren i mieszkając w wieloletniej piecu gromad, był przeto doskonałym uzupełnieniem „teoretyka” Puławskiego.

— Uwaga! Proszę o spokój! — zawołał przewodniczący Hrynczuk — przypustujemy do punktu piątego: akcja skupu zboża.

Jakby prąd elektryczny przeleciał po zebranych; twarze Kozłowej

łódze. Pomyślałem sobie: „to się dopiero zaczyna”. Od dłuższego czasu obserwowałem dorywczo dwóch radnych siedzących pod oknem: Mikulę z Bobrownik i Kozłową z Gorajec. Obaj ujawniali duże zainteresowanie dla omawianych spraw, w tej chwili pochylali się ku sobie komentując zapewne wypowiedzi Witeckiego. O ile sobie przypominam, to na poprzedniej sesji Rady tak Mikulę jak i Kozłową występowali jako oponenty w sprawie skupu zboża, doszło nawet wtedy do ostrego starcia między Kozłową a przewodniczącym Prezydium G.R.N. Patulskim. Dziś Patulski — pamięając jego krótkie zagajenie — głosił jeszcze nie zabierał. Siedząc przy stole prezydałnym między Puławskim a Paździoriem namyślnie kreślił coś ołówkiem po papierze i od czasu do czasu rzucał bryskiem spojrzenia na zebranych. Młody jeszcze, słabo wykształcony, nie orientował się w zawiłych sprawach administracji gminnej i sam mógł żartobliwie o sobie, że jest „niegramotny”, natomiast znał dobrze swój teren i mieszkając w wieloletniej piecu gromad, był przeto doskonałym uzupełnieniem „teoretyka” Puławskiego.

JAN KOPROWSKI

Pozdrowienie dla gromad przodujących w skupie zboża

Do was z gromady Uszczyn, Łanów, Wólka i Wola, Belchatówek, Wy już dzisiaj — w lutowe rano spiecie ziarno na przednówek.

Wasze zboże, trud i robota dla mas chłopskich, miasta, kraju. Już czas najwyższy wykryć sabotaż, gniewem się pięści wasze zwierają.

Jest jeszcze kulak skryty i wrogi, bogacz noszący w sercu żmije. Są jeszcze żyta pękate stogi, które moknie, przepada, gnieje.

Wam — ludziom przodującym gromad naród powierza sprawy swoje. Ziarnem wam dziś w spółdzielczych domach za Polską głosić, za pokojem.

Z waszej troski wyrośnie kraj nasz, życie matki, ojca i brata. Zboże na wozy! Do spichrzów ziarna! Pokój dla Polski — pokój dla świata.

nadwyżkę daly Hodurowice, w listopadzie albo w grudniu mogą dać Gorajce. Nie o to idzie. Powiadacie, że rząd Polski Ludowej idzie chłopom na rękę. Ja widzę, że jeszcze więcej idzie na rękę tym, co przystąpi do spółdzielni i nie przeciwko temu nie mówię, bo jak już ten socjalizm ma być, to i spółdzielnie muszą być. Ale mnie się to widzi, kiedy powiadam, że chłopów dawaj całe ziarno teraz, w październiku i listopadzie! Rzucaj robotę w polu, zostaw buraki na mrozie, a młóć tylko i odwoż do spółdzielni. Ja to rozumiem, że rolnik jeśli musi i trzeba mu chleb dostarczyć, ale pytam się, czy ten rolnik będzie jadł tylko w grudniu, a w maju i czerwcu już nie będzie potrzebował? A druga rzecz: mówię, że Państwo układa budżet na cały rok i wydatkuje pieniądze według planu, w styczniu tyle a tyle, w lutym znowu tyle i tak dalej. Ale Państwo tych wszystkich pieniędzy w kasie nie ma, te pieniądze dopiero napływają z podatków i innych dochodów. Tak samo jest u gospodarza. Mam wydatkować w ciągu roku, damy na to, 30.000 złotych i te pieniądze powinny mi napływać co jakiś czas, żeby móc podać i inne potrzeby opłacić. Ale jeżeli ja wszystko zboże sprzedam w październiku, to co będę sprzedawał na wiosnę? Skąd wezmę na naprawę wozu, kupię konia albo w razie — nie daj boże — jakiej choroby. Przecież to zboże, to jest moja gotówka.

— A kontraktowane świnię to co, a przychówek i nabiał to nie? przebrał mi Patulski.

— Dobry to był przychówek i nabiał — podjął Kozłowa — ale jak wy chcecie, żebyśmy odstawił cztery tony zboża, to czym ten przychówek futrować? Pewnie, mnie by się lepiej kalkulowało śrutować jęczmień i chować dziesięć świń, ale ten jęczmień muszę odstawić do spółdzielni.

— To wam się kalkuluje — wtężył sołtys Gruska — ale komu innemu nie.

— Tam w Gorajcach wszystko jakoś inaczej kalkulują!

— Handlarzom żyto po osiemdziesiąt sprzedają!

— Dlatego mają za co pić...

— Proszę o spokój! — zawołał Hrynczuk — Proszę zabierać głos po kolei. Kończcie Kozłowa.

— Ja już skończył. Ja powiedziałem to, co prawda, a was tu pięciu mnie nie przekrzykacie.

W dymie podniósł się rozgwar, slychać było zmieszane okrzyki. „Co wy, co wy Kozłowa!” — „No, pewnie, ci w Gorajcach, to tak!” — i jeszcze inne, niewyraźne, zgłoszone. Wtedy sekretarz Paździor uniósł się nad stołem, samym swym wyglądem, roslą postacią nakazując milczenie. Uciszyło się.

— Jest rewolucja w Polsce, czy nie ma? — zadał dość nieoczekiwane pytanie — Idziemy naprzód, albo się cofamy! Po co jest rewolucja? Żeby naprawić to, co złe. A wy, Kozłowa, chcecie żeby wyciął wrzód i żeby nie bolało. Powiadacie, że wam wygodniej sprzedać zboże na wiosnę niż teraz. Tak, wam wygodniej, ale jest większość takich, którym wygodniej, żebyście to zboże sprzedali dziś. Powiadacie, że wam się lepiej kalkuluje hodować świń, niżeli sprzedać jęczmień. Tak, wam się kalkuluje, ale gospodarz socjalistyczny ma inną kalkulację, mądrzejszą i sprawliwszą od waszej. Wy tylko widziecie swoje podwórko, chcecie najpierw gospodarstwo kulackie, potem dworek. A w końcu hrabiowski majątek? To jest wasza droga? Chcieliście tą drogą iść, ale nie pójście. Bo tu jest zakręt i stoi napis: „Uwaga, kraj socjalistyczny, własność ludowa, kapitalistom wstęp wzbroniony!” Chociaż byście na głowie stawali, to dalej ze swoją tęsknotą nie pójście. Dziś ja wam tu mówię, ale jutro to samo wam powie wasz najbliższy sąsiad. I po co wam stawać w poprzek? Myślicie, że ja nie wiem, jaki głos macie w Gorajcach? Sprzeciwiać się założeniu spółdzielni produkcyjnej. W Hodurowicach i Bobrownikach też byli tacy, co się sprzeciwiali, a widziacie, spółdzielnie tam powstały i rozwijają się. I głowę daję, że w Gorajcach też spółdzielnia się zawiąże. Najpierw w Gradoszowie, potem w Mokrzyskach, a choćby na

końcu w Gorajcach. I pociągniecie w poprzek? Co wam z tego przyjdzie? Opozycja rewolucji o sekundę? Wam ta sekunda nie nie daje, ale przez te sekundy tam, na Korei, ginie tysiąc ludzi! O tym trzeba myśleć, a nie o swoich kalkulacjach.

To ogólnie. A teraz co do waszego argumentu. Albo Wy sobie układacie budżet „na lewo” albo taki, jak inni uczeni chłopci. Dla uczciwego budżetu jest jasne, że jak jego zboże towarowe równa się np. 100 tysiąc, to wzięć może te 100 tysięcy na jeden raz, a tak planować wydatki, aby mu starczyło. To jedno, a drugie. Dobrze Wam powiedzieli, że gospodarz to i świnie, mleko, nabiał itd. i że zboża na skup oddacie, przepraszam — sprzedacie — tylko część. Ja Wam powiem, przed wojną biedni chłopci musieli sami na gwałt już jesienią wyprzedzać wszystko, a wiosną kupować, ho, ho, po wysrubowanych cenach, od takich, jak wy. I pytam Was — tego chcecie? Bo teraz i chłop biedny i rolnik są pewni, że przez cały, jak rok długi, chleb im przed gębą na cenie nie podskoczy.

Więc jeszcze raz pytam, czego chcecie — tego, co wczoraj, czy tego — co dzisiaj?

Nie wiem, co na mnie zrobiło większe wrażenie: słowa Paździora, czy milczenie, jakie zaległo, gdy skończył mówić. Zapomniałem o swojej funkcji, trzymałem ołówkiem neruchomo nad zeszytem i słyszałem jak kropie deszczu uderzały o szyby okienne. Wtedy ciszę przerwał jeden z najmłodszych radnych, Trybuna z Mokrzysk. Postawił wniosek, by Kozłową wykluczyć z trójki gromadzkiej, a na jego miejsce dać kogoś innego.

— Proszę to zanotować — usłyszałem głos Hrynczuka.

— A ja bym powiedział, że nie — sprzeciwił się wnioskowi Paździor — Mnie się tak coś wydaje, że Kozłowa będzie pracował. Najpierw tamte swoje pełne worki odstawi do spółdzielni, a potem zabierze się do roboty i postawi Gorajce na pierwszym miejscu w gminie. Prawda Kozłowa?

— A idźcie ty, zorcio... — odburknął Kozłowa, odwracając swą masywną, zacerwonioną twarz w bok.

Po raz trzeci tego wieczora wśród zebranych rozległ się śmiech, tym razem jakby orkiestrowo grzmący.

Wracałem powoli, chlapiąc butami w płytach kałużach i wyciągając przed siebie rękę w obawie, by nie uderzyć twarzą o jedną z lip rosnących szpalerem po obu stronach drogi. Daleko na zachodzie, w kierunku Nysy, migotały niki światła stacji kolejowej w Mokrzyskach, magazyny P.Z.Z. i Gminnej Spółdzielni. Gdzieś w tamtej stronie, trzy kilometry dalej, śpią Gorajce. Spiać dośownie i w przenożnie. Czy Kozłowa, który w tej chwili zdążył na rowerem, zagra gorajczanom pobudkę? Czy młody Siefczyk zdoła rozbudzić tamtejszą młodzież, wyrwać ją spod ciężkich skrzydeł starej generacji?

Spółród mroku kłębiącego się konturami masywnych zabudowań, usłyszałem głos strażnika:

— Kto idzie?

— Swoi... — odpowiedziałem — z posiedzenia Rady.

— Aha... Tu już czterech przejechało na rowerach.

— A która godzina?

Skrzeszałem zapalkę — Dwunasta, dwadzieścia pięć.

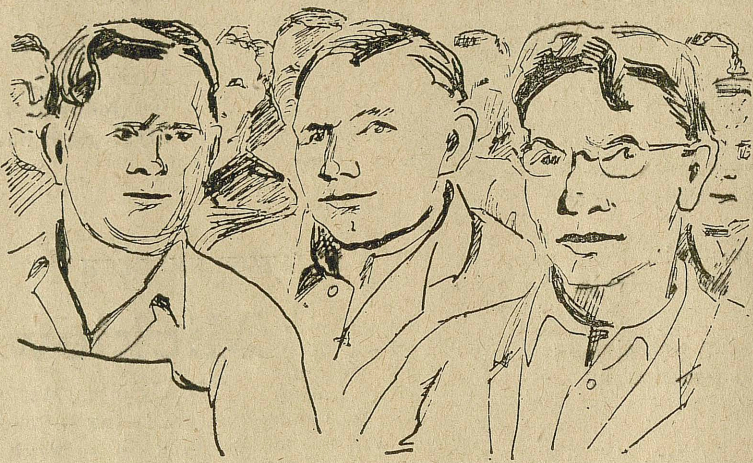
Strażnik przy okazji przypalił papierosa i raz jeszcze zapytał:

— A co tam z Kozłową z Gorajec? Wywalił się z roweru koło mnie i kłął na rower i na Gorajce. „W błoto leż, choć mam rower” rozumiecie — wołał do mnie — w błoto, ale chociaż to zrozumiał. Dali mi szkołę. Jak wyciągnę Gorajce, to sam z błota wyleżę, rozumiecie?”

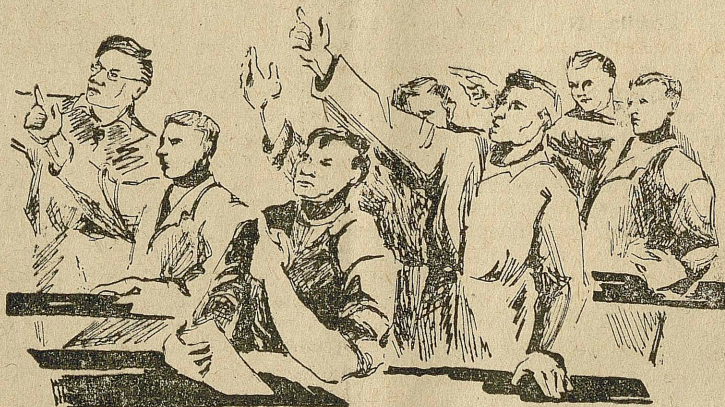
Tak do mnie gadał, tom zmiarkował, że coś ważnego było na Radzie.

— A było — rzuciłem znikając w ciemnościach — Wam teraz czynielny mogę doprowadzić, że w ostatecznym wyniku akcji skupu zboża Gorajce zajęły II-gie miejsce wśród pięciu gromad naszej gminy, w czym najwięcej zasługi trzeba przypisać Kozłowej.

Henryk Worcell

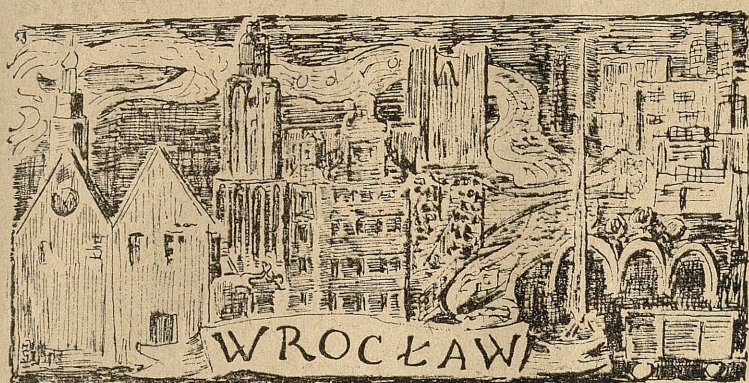


Rys. Hanna Krejnik



Wojciech Scibor

Listy z prowincji



Bolesław Lesman

Idzie o rok bieżący!

(Protokół z posiedzenia egzekutywy fabrycznej)

Rys. Janina Pol

Dyrektor Szymczak monotonnym głosem czytał sprawozdanie. Ożywiały się nieco tylko w momentach, gdy do odczytywanych cyfr, mówiących o sukcesach osiągniętych w ubiegłym roku dodawał swoje komentarze. Komentarze te podkreślały jeszcze bardziej wymieniane sukcesy.

Obok niego, przy tym samym biurku, siedział dyrektor techniczny fabryki, Klimek.

Wszyscy pozostali uczestnicy narady utworzyli półkole naprzeciw dyrektorskiego biurka. Z lewej strony

noś, w którą zapadli zebrani podczas sprawozdania dyrektora Szymczaka, minęła bez śladu.

Cała ta wrzawa uciąła nagle, gdy zabrzmiął spokojny, ale donośny głos majstra Nowakowskiego. Był to głos sugestywny — od razu skupił uwagę zebranych. Nowakowski umiał mówić. Nabrał wprawę na niezliczonych wiecach i masówkach robotniczych, na których przemawiał jako agitator nielegalnej KPP jeszcze przed wojną. Umiał też zmusić do milczenia tych którzy by chcieli mu przeszkodzić. Teraz zresztą nie musiał się zbytnio wysilać.

— Zdać się, towarzysze — zaczął, — że nie mówimy o tym, o czym trzeba mówić. Bardzo ładnie, że pamiętacie o świetlicy i żłobku, ale ta sprawa stała już na naszej egzekutywie niejedną raz. Mówi się już o tym od 46 roku, ale do tej pory wszystko się kończy na gadaniu. To jest nasz żelazny repertuar. Jakbyśmy się, towarzysze, wzięli za to, jużbyśmy dyrektora Kolskiego dawno wyrzucili. Ale o czym wtedy mówilibyśmy na zebraniach? — Spożył ironicznie na personalną i mówił dalej akcentując wyraźnie.

— Ta sprawa dzisiaj nie powinna nam przeszkadzać w wysuwaniu istotnych problemów. Myślny się tu zebrali, żeby mówić o produkcji, analizować wykonanie planu, omówić krytycznie naszą pracę w zeszłym roku i szukać błędów, które trzeba usunąć. Zaczął się drugi rok Planu 6-letniego. Musimy pracować coraz lepiej. Musimy się uczyć na swoich błędach, bo inaczej będziemy stać w miejscu. Dyrektor Szymczak składał tu sprawozdanie. Mówił, że bardzo ładnie pracowaliśmy, że mamy sukcesy. Ale towarzysze, wiemy dobrze, że nie było i nie jest tak ładnie, jak to wygląda na papierze. Towarzysze! Trzeba nam uczciwie, bolszewickiej krytyki i samokrytyki. Bez tego nie pójdziemy naprzód.

Ostatnie zdania były wypowiedziane z pasją i z namiotnością.

Przez dłuższą chwilę trwało kłopotliwe milczenie. Wreszcie podniósł rękę do góry nieśmiało już robotnik w granatowym, czystym kombinie.

— Towarzysze — powiedział i zatrzymał się szukając słów. — Towarzysze! Mnie się też tak wydaje, że

ostatnia odpowiedź dyrektora Szymczaka oburzyła ją.

— A czyśmy tu czasem sami nie zawiniłi, towarzysze? — rzuciła pytanie. — Zastanówmy się czy organizacja partyjna zrobiła wszystko, co do niej należało? Czy zainteresowaliśmy się tym, że szkolenie właściwie „leży”? Czy wiedzieliśmy o tym, że instruktorom dzieje się krzywda? Czy mówiliśmy z przodownikami pracy i czynimy ich uświadamiali, jakie są ich obowiązki i jakie prawa?

— Nowakowski zwrócił się w stronę biurka, z którym siedzieli obaj dyrektorzy.

— Towarzyszu Szymczak, Chcieliśmy coś więcej usłyszeć na ten temat. W naszym sprawozdaniu wymieniliśmy tylko bardzo ładną cyfrę. Powiedzieliście, że 87 procent załogi, czyli wszyscy pracownicy zatrudnieni produkcyjnie są objęci współzawodnictwem. Cyfrowo lepiej być nie może, bo przecież urzędnicy albo straż przemysłowa nie mogą współzawodniczyć z robotnikami przy maszynach. Ale nie wymieniliście ani jednego przodownika pracy. W tym sprawozdaniu nie widać ludzi, nie widać jak oni pracują, są tylko cyfry. A z samych cyfr trudno się zorientować jak sprawa stoi. Wymieńcie nam parę nazwisk najlepszych robotników i jaki procent bazy akordowej wykonują. Przynajmniej po jednym z każdego oddziału.

Dyrektor Szymczak strpił się tym pytaniem i zaczął czegoś szukać w leżących przed nim papierach. Szukając mówił:

— To chyba nieporozumienie. Nie uważałem, że trzeba aż tak szczegółowo robić to sprawozdanie. Najważniejsze, że nasze zakłady jako takie, wykonywały plan przed terminem.

Mówiąc ogólnikami, w które coraz częściej wtrącał wyrażenie „jako takie” we wszystkich możliwych przypadkach znalazł wreszcie wykaz przodowników pracy. Niestety, w wykazie były tylko nazwiska, z pominięciem procentu wykonania normy.

Nowakowski nie ustępował. Dyrektor Szymczak płał się w nic nie mówiących tłumaczeniach, aż przyszedł mu z pomocą dyrektor techniczny.

— Mogę trochę z pamięci powiedzieć. 193 procent normy wyrabia Tokarczyk z pończoszarni maszynowej. To jest najlepszy wynik w naszej fabryce. Na innych oddziałach są przodownicy, którzy osiągnęli od 160 do 180 procent bazy akordowej.

— Acha — uśmiechnął się Nowakowski i zaraz postawił następne pytanie. — A jaki jest najniższy procent wykonania normy i jaka część ze współzawodniczących robotników nie wyrabia swoich baz?

Przewodniczący rady zakładowej Marciniak, siedzący z prawej strony biurka protokolanta, rozumiał już, do czego zmierza Nowakowski, i patrzył na niego z uznaniem. Sam robotnik, wyrobiony aktywista partyjny i związkowy, nie posiadał jednak tej zdolności łowienia w gąszczu cyfr potrzebnych danych i zadrżał, gdy umiętności samoukuł Nowakowskiemu. Obserwował teraz uważnie dyrektora Szymczaka, który odpowiadając na pytanie starego majstra, nie wiedział jeszcze o co chodził.

— Meldowano mi już, że są tacy, którzy nie wyrabiają nawet 50 procent normy i to przeważnie młodzi robotnicy. A biorąc ogólnie prawie połowa całej załogi jako takiej, nie wyrabia swoich baz. Tylko wiecie, towarzysze, nie chciałbym, żeby nasz korespondent pisał o tym do gazety, bo przecież ogólnie jest dobrze. Plan jako taki wykonaliśmy. A jak będzie w gazecie, to zaraz zaczną nas krytykować i diabli wiedzą co jeszcze: komisje, kontrole. A to przecież niepotrzebne.

Korespondent chciał mu odpowiedzieć, ale Janiakowa, prowadząca zebranie nie udzieliła mu głosu i skierowała w stronę Nowakowskiego.

— Kończcie, towarzyszu, co zaczęliście.

Tak to u nas wygląda — mówił Nowakowski spokojnym głosem z lekką ironicznie. — Niby wszystko

Usiadła zadowolona. Dyrektor Szymczak przeszedł jej zyczliwy uśmiech. Wyglądało że burza została zażegnana, ale z kolei poprosiła o głos młoda przodownica pracy z oddziału pończoszarni, od niedawna zasiadająca w egzekutywie.

— Ja się chciałam tylko zapytać, dlaczego u nas na oddziale tak się dzieje, że któregoś przodownika pracy się wyznaczy na instruktora, to zaraz dostaje mniejszą wypłatę niż miał przy maszynie. Dużo przodowników pracy nie chce przez to być instruktorem i może dlatego jest źle ze szkoleniem.

— A dlaczego dostawali mniej? — zainteresował się Nowakowski. — Przecież należała im się przeciętna zarobków z ostatnich trzech miesięcy.

— No to widocznie Wydział Pracy i Płacy coś skrewił — zadowolony się stwierdzeniem faktu dyrektor Szymczak.

Janiakowa nie brała do tej pory udziału w dyskusji. Siedziała skupiona słuchając uważnie wszystkich wypowiedzi i obserwując twarze mówiących. Od czasu do czasu notowała coś w swoim zeszytiku. Jednak

„leży” szkolenie i „leży” propaganda współzawodnictwa. A czy zastanawialiście się towarzysze jak mogłaby nam skończyć w górę wydajność pracy, gdybyśmy podciągnęli słabszych. Co najmniej, średnio w całej fabryce o 15 procent. Tak sobie liczę na oko, skromnie.

— Poproszę o głos — przewodniczący rady zakładowej wstał energicznie z miejsca. — Towarzysze! Dużo przemyslałem teraz w czasie dyskusji. Powinno nam zrobić więcej, ale jak to mówią: „lepiej późno niż wcale”. Nie będę się tłumaczył, że dopiero trzy miesiące jestem na tym stanowisku. Trzy miesiące to zbyt mało i co było złe, można było naprawić. Tylko, że myślny o tym nie myślny, bo najwięcej nas obchodziło zbieranie składek związkowych. A kiedy przyszły do nas robotnice z kotonarni i skarżyły się, że zeszytarki zarabiają dużo więcej niż łączarki, chociaż te mają dużo cięższą robotę, to odesłaliśmy je do Wydziału Pracy i Płacy, mówiąc, że to nie nasza sprawa. I z wszystkimi takimi skargami odsyłaliśmy dalej bez względu czy to byli kotoniarze, czy robotnice z rękawicznarni. A teraz słucham i sprawdzam: zeszytarki, nawet te najgorsze, robią co najmniej 130 procent normy, a najlepsze łączarki ledwo wyciągają 108 — 110 procent. Czyście się zastanowili, towarzysze, co to znaczy? To znaczy, że wiele naszych norm jest zanizonych. A to demobilizuje załogę. W tym właśnie trzeba szukać przyczyn. Zniechęcenia do współzawodnictwa. Bo jak mają współzawodniczyć ci, którzy wkładają cały wysiłek, żeby zrobić 100 procent normy z tymi, co nie prawie nie robiąc, osiągając lekko 140 procent. Czyśmy tym zainteresowali naszą Zakładową Komisję Normowania? Bo jeśli oni nie nie robią, to naszym obowiązkiem było imi trochę potrząsnąć.

Druga sprawa — przewodniczący rady zaczął teraz spokojnie, ale i tak po kilku wypowiedziach zdaniach ponownie się rozgorączkował. Najgorzej u nas pracuje młodzież. Wiemy o tym wszyscy. Nie chcą się uczyć i nie chcą współzawodniczyć. Bumelantwo u nich kwitnie. Paru już musieliśmy oddać do sądu. Ale są młodzieży nie wychowa — to jest zadanie naszej organizacji ZMP-owskiej. Co robi ta organizacja? Gdzie jest przewodniczący? Powinien być na egzekutywie!

Zebrani rozejrzeli się po gabinecie. Przewodniczącemu ZMP nie było. Personalna wyjaśniła:

— On tak zawsze ucieka z egzekutywy, kiedy widzi, że się przeciąga. Już nieraz mu zwracałam uwagę, ale on sobie nic z tego nie robi.

— No i patrzcie — uniósł się znów przewodniczący rady. — Czy taki lekkoduch może wychowywać młodzież? Świecić jej przykładem? Znamy go od dawna — mówił akcentując każdą sylabę. — Wiedzieliśmy, jaki jest. Dlaczego więc egzekutujemy, której obowiązkiem przecież jest opiekę nad kołem młodzieżowym, nie wystąpiła do Dzielnicy ZMP, żeby zarządzić nowe wybory? Towarzysze! Muszę tu powiedzieć, że i rada zakładowa i organizacja partyjna nie spełniły swoich obowiązków.

Usiadł i odetchnął, jakby mu kamień spadł z serca. Nastroj zebranych stał się przykry. Powietrze w gabinecie przesycone było dymem tytoniowym z niezliczonej ilości wypalonych papierosów. Prawie wszyscy pogryźli się w niewesołych myślach. Dyrektor Szymczak ze słabo ukrywanym niepokojem patrzył na korespondenta: „Napisać czy nie napisać” — to go najbardziej dręczyło. Podobne myśli snuły się w głowie personalnej.

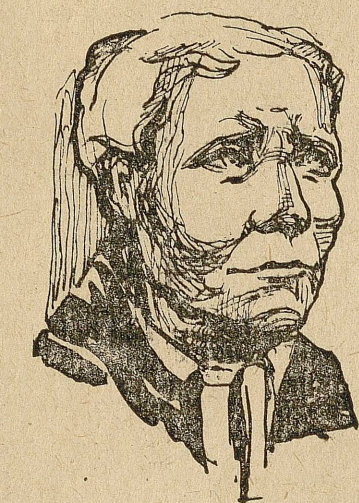
Milczenie przerwał Nowakowski. Wstał z miejsca i wystąpił krok naprzód.

— No i widzicie, towarzysze, jak to ładnie poszło. Nie ma się czym przejmować. Bardzo dobrze się stało, żeśmy sobie wygarnęli trochę prawdy w oczy. Wiemy teraz, czego się trzymać. Już się nie boję o nasz plan. Powiem jeszcze, że jest za mało podwyższony. Mamy ogromne, niewykorzystane dotąd rezerwy produkcyjne. Weźmiemy się do roboty. Postawimy na nogi szkolenie zawodowe, zrewidujemy zanizone normy, przypilnujemy Wydział Pracy i Płacy, żeby się im tam nie „krejowało”, zaopiekujemy się organizacją ZMP-owską i to wszystko razem da solidny fundament dla współzawodnictwa. O wynikach naszej narady opowiem na najbliższym zebraniu fabrycznym całej załogi. Powiem im, że po zlikwidowaniu tych naszych błędów możemy się stać wzorową fabryką w przemyśle dziewiarskim. Sam postawię wniosek, żebyśmy nasz podwyższony plan na ten rok podnieśli jeszcze o 10 procent. Możemy to zrobić po usunięciu naszych błędów. Szybkiej wykonamy Plan 6-letni. Jestem pewny, że nasza załoga podchwyci ten wniosek z entuzjazmem.

Usiadł patrząc na rozpogadające się twarze zebranych. Jeden tylko dyrektor Szymczak wciąż z niepokojem spoglądał na korespondenta. Głos zabrala Janiakowa.

— Towarzysze! Do mnie jako do sekretarza podstawowej organizacji partyjnej i przewodniczącej zebrania, należą podsumowanie dyskusji. Z zadowolonym stwierdzam, że pod koniec stała ona na odpowiednim poziomie. Dała nam dużo krytycznego

dalszy ciąg na str. 6.



Janiakowa

półkole siedział stary majster Nowakowski. Z postawy bardzo podobny do dyrektora Szymczaka, też niski i szczupły, różnił się jednak od swego zwierzchnika ostrzejszymi rysami twarzy, którą mimo wielu zmarszczeń odmiadały silnie i stanowczo patrzące, jasne oczy. Oczy te śledziły bez przerwy każdy ruch warg dyrektora.

Następne miejsca przy nim zajmowało kilku robotników, wśród nich dwie kobiety. W środku półkole siedział kierowniczką personalną, tęgawa kobieta w średnim wieku z różnymi policzkami i dość jasną skórą podmalowaną ustami. Przy niej, nieco w głębi, siedział przewodniczący fabrycznego koła ZMP, przystojny młodzieniec, o długich blond włosach i regularnych rysach twarzy. Dalej stało duże biurko, za którym rozsiadł się potężnie zbudowany urzędnik, okazałej tuszy, o rumianych, krwistych policzkach pełniący funkcję protokolanta. Z lewej strony biurka, rozłożył sobie kilka kartek papieru korespondent fabryczny, zaś z prawej, zajął miejsce przewodniczący rady zakładowej. Na prawym krańcu siedziała pochylona starsza już robotnica.

Była to towarzysza Janiakowa, jedna z najstarszych robotnic fabryki, pamiętająca dobrze przedwojenne czasy i ciesząca się zaufaniem całej załogi. Wynikiem właśnie tego zaufania było to, że wybrano ją na sekretarza organizacji partyjnej. Było to niedawno — nie dziwnego więc, że nie czuła się jeszcze pewnie na tak odpowiedzialnym stanowisku. Siedziała, wspierając się rękami na kolanach, wpatrując się w notatki, które rozłożyła przed sobą. Gdy dyrektor skończył sprawozdanie, wyprostowała się, odczekała chwilę i mówiąc w głos, jakby zastanawiając się nad każdym słowem zachęcała zebranych do zabierania głosu w dyskusji.

— Mamy na swoim koncie duże sukcesy — mówiła. Największym z nich było wykonanie planu za rok 1950 w przeciągu 10 miesięcy. Wiecie jednak wszyscy, że plan na bieżący rok jest podwyższony prawie o 30 procent. Musimy się zastanowić jak go wykonać. Musimy omówić błędy, jakie popełniliśmy w zeszłym roku — a były naprawdę — żeby ich na przyszłość nie powtórzyć. Im prędzej zlikwidujemy nasze błędki, tym łatwiej będzie nam wykonać zadania drugiego roku Planu 6-letniego.

Rozzejrzała się po zebranych i skłoniła głową w stronę kierowniczką personalnej, która podniosła rękę do góry.

— Proszę mówić. Udzielam głosu towarzysze personalnej.

— Chciałam tu poruszyć sprawę, która nas wszystkich boli i którą powinniśmy jak najprędzej załatwić — zaczęła personalna afektowanym głosem. — Już minął rok, jak wyszło zarządzenie, że na terenie fabrycznym nie wolno mieszkac obcym osobom. A tu, na drugim piętrze mieszka sobie dyrektor Kolski z bawelnianych zakładów. Zajął jeszcze w 46 roku cztery pokoje — nikt nie wie jakim prawem i mieszka do dziś. Nie można go w żaden sposób usunąć. Znaleźliśmy mu już zastępcę mieszkając na mieście, ale jemu było za wysoko, bo trzęsie piętro no i pokoje były dla niego za małe. Nie mogłoby się biedak pomieścić — ironia zabrzmiła w jej głosie — z żoną, służącą i dwoma psami. Nasi robotnicy gnęźnią się czasem po cztery albo pięć osób w małym pokoju, a on dla kanarka musi mieć oddzielny gabinet. Co go to obchodzi, że my musimy mieć żłobek, bo pracuje u nas prawie tysiąc kobiet.

Kilka osób potwierdziło podane fakty. Reszta zachowała przypominając o innych wybranych dyrektora. W gabinecie podniosła się wrzawa. Po dwie, trzy osoby mówiły naraz. Sen-



Majster Nowakowski

my tu sobie tak gładko gadu, gadu, a nie wszystko jest tak dobrze, jak mówimy. Weźmy na przykład szkolenie zawodowe. Coś tam przez cały rok nie kłapowało. Niby szkolenie było, ale jakby go nie było. Czyja to wina? Jak tu poradzić? Ja myślę, że to ważna sprawa i egzekutująca powinna się tym zająć.

Dyrektor Szymczak, do którego skierowana była ta wypowiedź, zastanawiał się jeszcze, gdy wstała kierowniczką personalną.

— Chciałam, towarzysze, wyjaśnić tę sprawę. Wiecie przecież, że do grudnia referat szkolenia zawodowego prowadził u nas stary Mroczkowski. Poczciwy człowiek, no ale nie mógł sobie dać rady. Stary, siłom krzyżczy mu już szedł i ledwie nogami wchodził. Trudno było od niego więcej wymagać, niż robił. Ale jak poszedł na emeryturę, znalazłam na jego miejsce młodą, energiczną dziewczynę i ona już postawiła na nogi to szkolenie.

Usiadła zadowolona. Dyrektor Szymczak przeszedł jej zyczliwy uśmiech. Wyglądało że burza została zażegnana, ale z kolei poprosiła o głos młoda przodownica pracy z oddziału pończoszarni, od niedawna zasiadająca w egzekutywie.

— Ja się chciałam tylko zapytać, dlaczego u nas na oddziale tak się dzieje, że któregoś przodownika pracy się wyznaczy na instruktora, to zaraz dostaje mniejszą wypłatę niż miał przy maszynie. Dużo przodowników pracy nie chce przez to być instruktorem i może dlatego jest źle ze szkoleniem.

— A dlaczego dostawali mniej? — zainteresował się Nowakowski. — Przecież należała im się przeciętna zarobków z ostatnich trzech miesięcy.

— No to widocznie Wydział Pracy i Płacy coś skrewił — zadowolony się stwierdzeniem faktu dyrektor Szymczak.

Janiakowa nie brała do tej pory udziału w dyskusji. Siedziała skupiona słuchając uważnie wszystkich wypowiedzi i obserwując twarze mówiących. Od czasu do czasu notowała coś w swoim zeszytiku. Jednak

my tu sobie tak gładko gadu, gadu, a nie wszystko jest tak dobrze, jak mówimy. Weźmy na przykład szkolenie zawodowe. Coś tam przez cały rok nie kłapowało. Niby szkolenie było, ale jakby go nie było. Czyja to wina? Jak tu poradzić? Ja myślę, że to ważna sprawa i egzekutująca powinna się tym zająć.

Dyrektor Szymczak, do którego skierowana była ta wypowiedź, zastanawiał się jeszcze, gdy wstała kierowniczką personalną.

— Chciałam, towarzysze, wyjaśnić tę sprawę. Wiecie przecież, że do grudnia referat szkolenia zawodowego prowadził u nas stary Mroczkowski. Poczciwy człowiek, no ale nie mógł sobie dać rady. Stary, siłom krzyżczy mu już szedł i ledwie nogami wchodził. Trudno było od niego więcej wymagać, niż robił. Ale jak poszedł na emeryturę, znalazłam na jego miejsce młodą, energiczną dziewczynę i ona już postawiła na nogi to szkolenie.

Usiadła zadowolona. Dyrektor Szymczak przeszedł jej zyczliwy uśmiech. Wyglądało że burza została zażegnana, ale z kolei poprosiła o głos młoda przodownica pracy z oddziału pończoszarni, od niedawna zasiadająca w egzekutywie.

— Ja się chciałam tylko zapytać, dlaczego u nas na oddziale tak się dzieje, że któregoś przodownika pracy się wyznaczy na instruktora, to zaraz dostaje mniejszą wypłatę niż miał przy maszynie. Dużo przodowników pracy nie chce przez to być instruktorem i może dlatego jest źle ze szkoleniem.

— A dlaczego dostawali mniej? — zainteresował się Nowakowski. — Przecież należała im się przeciętna zarobków z ostatnich trzech miesięcy.

— No to widocznie Wydział Pracy i Płacy coś skrewił — zadowolony się stwierdzeniem faktu dyrektor Szymczak.

Janiakowa nie brała do tej pory udziału w dyskusji. Siedziała skupiona słuchając uważnie wszystkich wypowiedzi i obserwując twarze mówiących. Od czasu do czasu notowała coś w swoim zeszytiku. Jednak

my tu sobie tak gładko gadu, gadu, a nie wszystko jest tak dobrze, jak mówimy. Weźmy na przykład szkolenie zawodowe. Coś tam przez cały rok nie kłapowało. Niby szkolenie było, ale jakby go nie było. Czyja to wina? Jak tu poradzić? Ja myślę, że to ważna sprawa i egzekutująca powinna się tym zająć.

Dyrektor Szymczak, do którego skierowana była ta wypowiedź, zastanawiał się jeszcze, gdy wstała kierowniczką personalną.

— Chciałam, towarzysze, wyjaśnić tę sprawę. Wiecie przecież, że do grudnia referat szkolenia zawodowego prowadził u nas stary Mroczkowski. Poczciwy człowiek, no ale nie mógł sobie dać rady. Stary, siłom krzyżczy mu już szedł i ledwie nogami wchodził. Trudno było od niego więcej wymagać, niż robił. Ale jak poszedł na emeryturę, znalazłam na jego miejsce młodą, energiczną dziewczynę i ona już postawiła na nogi to szkolenie.

Usiadła zadowolona. Dyrektor Szymczak przeszedł jej zyczliwy uśmiech. Wyglądało że burza została zażegnana, ale z kolei poprosiła o głos młoda przodownica pracy z oddziału pończoszarni, od niedawna zasiadająca w egzekutywie.

— Ja się chciałam tylko zapytać, dlaczego u nas na oddziale tak się dzieje, że któregoś przodownika pracy się wyznaczy na instruktora, to zaraz dostaje mniejszą wypłatę niż miał przy maszynie. Dużo przodowników pracy nie chce przez to być instruktorem i może dlatego jest źle ze szkoleniem.

— A dlaczego dostawali mniej? — zainteresował się Nowakowski. — Przecież należała im się przeciętna zarobków z ostatnich trzech miesięcy.

— No to widocznie Wydział Pracy i Płacy coś skrewił — zadowolony się stwierdzeniem faktu dyrektor Szymczak.

Janiakowa nie brała do tej pory udziału w dyskusji. Siedziała skupiona słuchając uważnie wszystkich wypowiedzi i obserwując twarze mówiących. Od czasu do czasu notowała coś w swoim zeszytiku. Jednak

KIEDY piszecie o nas, ludziach Dolnego Śląska, zbyt często zapominać o tym, że są tu wciąż jeszcze dwa rodzaje ludzi, że walczą tu wciąż dwa style życia i pracy. Pierwszy z nich przynosił na te ziemie biedota wiejska i miejska, która z centralnej Polski lub zza Bugu przybyła do województwa wrocławskiego szukając pracy, chleba i awansu społecznego. Drugi przyniósł z sobą wysadzeni z siódla byli obszarnicy, kupcy, fabrykanci oraz skompromitowani współpracą z okupantem sołtysi, wójtowie, kulańcy, którym po wyzwoleniu kraju stało się w ich rodzinnych stronach „za ciasno” i zbiegli na Dolny Śląsk nie raz przed odpowiedzialnością i karą a zawsze w poszukiwaniu łatwych zarobków bez pracy.

Walka o okiełznanie i likwidację tych pasożytniczych elementów wciąż jeszcze trwa na Dolnym Śląsku, a nawet zastrza się i przeradza w walkę z wszelkimi, przeżytkami kapitalistycznymi sposobu gospodarowania i myślenia we wszystkich dziedzinach życia społecznego.

Oto garść ostatnich komunikatów z tego frontu.

Sytuacja na kopalni „Wiktor” w Wałbrzychu w pierwszym półroczu 1950 budziła poważny niepokój i głęboką troskę.

„Pod względem produkcyjnym i poziomu wydajności kopalnia „Wiktor” zajmuje jedno z ostatnich miejsc... sytuacja na kopalni „Wiktor”... powołuje, że całe Dolnośląskie Zjednoczenie Węglowe nie może właściwie przekazać planów... Podstawowa Organizacja Partyjna na „Wiktor” nie widzi poza planami i cyframi żywych ludzi, nie widzi załogi...” — stwierdzał na V Plenum K.C. P.Z.P.R. z poczuciem współodpowiedzialności sekretarz W.K. P.Z.P.R. we Wrocławiu tow. Marzec.

Obiektywne trudności, powiecie. Niewątpliwie kopalnia „Wiktor”, jak i inne kopalnie dolnośląskie ma pokłady węgla silnie sfaldowane, o dużym kącie nachylenia, bardzo niejednolite i skomplikowanej budowy, w dodatku o wiele większym niż na Górnym Śląsku, stopniu zanieczyszczenia węgla.

Ale mimo tych „obiektywnych” trudności w początku roku 1951 kopalnia „Wiktor” wysuwa się na czoło wszystkich kopalń węgla w Polsce. Stąd 6 lutego br. brygadziści Bronisław Waltoś, poparty przez całą załogę, ogłasza list otwarty do towarzyszy górników i zobowiązanie wyzwać do walki o dalsze zwiększenie wydobywania węgla, o obniżeniu kosztów urobku, o poprawie jakości węgla, a więc o wykonanie podstawowych kluczowych dyrektyw Planu 6-letniego. Kopalnia „Wiktor” z pewnością w 1951 r. nie będzie się wlokła w ogonie, nie dlatego, że się zmieniły nagle warunki pracy, ale dlatego, że zmienił się człowiek, zmienił się styl pracy załogi.

Po latach, w których nie jedną zwycięską cyfrę wpisywaliśmy do osiągnięć Czerwonego Wałbrzysza jeszcze lepiej rozumiemy co znaczy węgiel... dla pokój, dla gospodarki, dla budowy socjalizmu — pisze Waltoś, dziś 33-letni wykwalifikowany górnik, a jeszcze niedawno w r. 1945 jeden z wielu „spadkobierców” dwumorgowego gospodarstwa we wsi Jesionka pow. Krosno, wsi niegdyś deskami zabitej od świata. To Partia budziła i Partia teraz czuwa, aby inicjatywa Waltośa i innych nie poszła na marne.

Ta czujność Partii jest tym bardziej uzasadniona, że ośrodki robotnicze Dolnego Śląska są nowe, pozbawione miejscowych, przedwojennych tradycji walk rewolucyjnych, stale do nich dopływa (co roku ok. 15 tys.) potężny strumień ludności wiejskiej, przynoszącej nawyki i złudzenia drobnotowarowej gospodarki.

W dodatku na te nowe ośrodki klasy robotniczej przez długi czas oddziaływały zarówno gomulkowszczyzna jak i nacisk prawniczych elementów b. P.P.S. mocno zagnieżdżonych na Dolnym Śląsku, które usiłowały podciąć hegemonię proletariatu i przedwojenno klasy robotniczej. Wystarczy wspomnieć, że jeszcze w 1948 r. na Dolnym Śląsku, gdzie sam przemysł zatrudniał ponad 200 tys. osób, na 2061 radnych Powiatowych Rad Narodowych, podstawowych organów władzy ludowej, było zaledwie 144 robotników przy 208 przedstawicielach prywatnej inicjatywy, bogatych rzemieślników i kupców.

W ostrej walce klasowej okrzepili i urosli nie tylko górnicy. Dość wymienić załogę zakładową przemysłu bawelnianego w Mirsku (pow. Lwówek), która osiągnęła w r. 1950 w walce o jakość produkcji 84% — I-gatunku, przy 2½% braków, gdy dla całego przemysłu bawelnianego

przeciętnie wynosiły: 62% — I-gatunku i 13% — braków; czy Pa-Fa-Wag we Wrocławiu, który realizując hasło Partii: „więcej kobiet do produkcji” podniósł więcej niż trzykrotnie udział kobiet w składzie załogi, czy załogę zakładów Technicznej Obsługi Rolnictwa w Lubaniu, która pierwsza w całym kraju zakończyła już 7 lutego br. remont traktorów i maszyn rolniczych przed zbliżającą się wiosenną akcją siewną.

Cały kraj liczy na wzrost w sześcioleciu produkcji przemysłowej Dolnego Śląska o 120%, czeka na produkcję 20 nowych kluczowych fabryk: chemicznych, maszyn elektrycznych, nowych kopalń metali kolorowych i nieżelaznych itp., która ma dorzucić Dolny Śląsk w Planie 6-letnim do potencjału przemysłowego Polski. Doświadczenia roku 1950 i początków roku 1951 dowodzą, że się nie zawiedzie.

Ofensywa produkcyjna klasy robotniczej Dolnego Śląska wciąga i masy pracującego chłopstwa wsi woj. wrocławskiego, coraz szerzej do budowy socjalizmu. Ponad dwieście spółdzielni produkcyjnych pracuje już na Dolnym Śląsku, produkuje powiat Żabkowice z 43 spółdzielniami (z tego 28 założonych w styczniu br.). Pracują te spółdzielnie z planem 6-letnim w rękę, który żąda od chłopów Dolnego Śląska rzeczy nielatwych: wzrostu hodowli o 89%, a zbiorów roślinnych o 41%, a więc ustala wskaźniki wzrostu znacznie wyższe od przeciętnych dla całego kraju. A jak przebiega realizacja dość wymienić 18 spółdzielni powiatu Strzelin, które potrafiły już w pierwszym roku zespolonej gospodarki podnieść pogłowie bydła rogatego o 381 sztuk, owiec o 186 sztuk, a w planach z ha już w roku 1950 zbliżyły się poważnie (a w pszenicy nawet przekroczyły) normy przewidziane dopiero na rok 1955. Garnie się do tych spółdzielni — średniak, który stanowiłby jeszcze centralną figurę na wsi dolnośląskiej, niż w innych częściach Polski. On bierze pierwszą nagrodę we współzawodnictwie 14 tys. gromad w przedterminowym i ponadplanowym skupie zboża w r. 1950 (wieś Czechów, pow. Góra Śląska). W ocenie wyników pracy grup hodowców i plantatorów Z.S.Ch. całej Polski zajmuje I — (gromada Półwieś, powiat Jawor), II — (gromada Czarne, pow. Jelenia Góra) i III — (gromada Wierów, pow. Strzelin) miejsce, występuje z apelem do wszystkich chłopów pracujących w całym kraju o przedterminowe i ponadplanowe wykonanie planu skupu zboża do 20 lutego br. (wieś Kręzków, gmina Borów, pow. Strzelin), wola na naradzie aktywów politycznego w Kłodzku: „Potrzebujemy kulańskim, a zboże się znajdzie”. Coraz więcej jest takich chłopów na Dolnym Śląsku, jak średniak Józef Wojkiewicz, który tak mówił na zebraniu w Kręzkowie:

„Sprzedałem już państwu 43 metry zboża, to znaczy 6 metrów ponad plan. Ale po głębszym namyśle dozedłem do przekonania, że nasz plan gromadzki był widocznie za mały, skoro większość gospodarzy mało- i średniorolnych przekroczyła go. Tak na przykład Andrzej Bernas oddał ponad plan 12 metrów, Władysław Troczyński na zaplanowane 37 metrów oddał 49, Gracjan Chumcz oddał ponad plan 11 metrów. Takich przykładów mógłbym podać wiele.

Przekonało to mnie i moich sąsiadów, że nasza gromada jest w stanie plan znacznie przekroczyć. Dlatego zobowiązuję się dostarczyć dodatkowo jeszcze dwa metry zboża i wyzwać do podwyższenia planu wszystkich chłopów naszej gromady”.

A jeszcze niedawno ci średniacy, zerkali w stronę mikolajkowickiego PSŁ (w samym mikolajkowickim Kłodzku wydano 12 tysięcy legitymacji PSŁ), nie rozumiał produkcyjnej roli klasy robotniczej, z zadowoleniem przyjmował oświadczenia działaczy polity

Leonard Sobierajski

Pisarz i środowisko

(Dokończenie szkicu: „Reymont na progu pisarstwa” *)

W „ewolucji” pisarskiej Reymonta „Pielgrzymka do Jasnej Góry” stanowi przełom. Autor nie pisze już z „siebie”, nie konstruuje swoich doświadczeń w obraz, który zadawał jego własne widzenie rzeczywistości („Śmierć”, „Frank”, „Tomek Baran”), Reymont pisze — jak stary — przed nami — w ostatnim artykule — na zamówienie ideologicznego burżuazji. W „Pielgrzymce” wnosi do literatury plastycznej rejestrowania zewnętrznej rzeczywistości: to jest ten najmłodszy Reymont, na którego stawia burżuazja tylko ze względu na dostrzeżenie w nim talentu; stawia, bo zna jego społeczne pochodzenie (drobnomieszczaństwo); stawia, bo zna siłę „swoich uroków”, którymi łatwo przeciąga na swoją stronę ludzi z warstw pośrednich. Nowy Reymont, ten zgrzeszenie i skrycie przygotowany przez „Głos”, a otwarcie i wulgarnie przez „Tygodnik Ilustrowany” — wniesie do literatury zadatki burżuazyjnego widzenia rzeczywistości. Da to w rezultacie skłócony artystycznie obraz. Postaramy się to pokazać w naszym artykule. Problem jednak, którym chcemy zająć się na początku będzie inna sprawa. Interesuje nas przede wszystkim „współczesność” środowiska na tę jego pierwszą próbę, która miała zaspokoić burżuazyjne zapotrzebowanie. Mówiliśmy już, że redakcja „Tygodnika Ilustrowanego” starała się stworzyć klimat zainteresowania dla „Pielgrzymki”, „wrażenia i notatek” Reymonta.

Te wrażenia „septycznego” inteligenta, drukowane w „Tygodniku” (od czerwca 1894) szybko zmateriałyzowały się w książkę. „Pielgrzymka” wyszła z początkiem 1895 roku, wywołując rzeczywiste duże zainteresowanie. Koncern Gebethnerowski działał sprawnie. Pojawiają się pierwsze recenzje, które pasują Reymonta na pisarza... pisarza, który potrafił „znaleźć się na fali”.

Dla rozpatrzenia „tworzącej ewolucji” Reymonta odnotujemy kilka opinii o „Pielgrzymce”. Da nam to ciekawy materiał, na którym można sprawdzić, jak środowisko literackie, z którym się Reymont stykał, utrwalało go na „nowej drodze pisarskiej”, bądź dawało mu znaki ostrzegawcze, w zasadzie akceptując sam kierunek pisarskich zainteresowań autora. Przytoczę tu trzy reprezentatywne opinie, wyrażające ocenę dzieła w oczach: radykalnej inteligencji (Krzywicki), prawicowo-socjalistycznej inteligencji (Lorentowicz), wreszcie opinii ludzi spod znaku endecji (Z. Wasilewski), zastrzegając sobie swobodę kolejności podawanych sądów.

Na początku chcę przywołać jeszcze kliszę, jaką na ten etap twórczości Reymonta nakładała już z perspektywy całej działalności pisarskiej autora „Chłopów” krytyka burżuazyjna.

Zygmunt Falkowski, inspirowany w swoim spojrzeniu na „laureata Nobla” przez Adama Grzymałę-Siedleckiego i Zdzisława Dębickiego tak pisze:

„W roku 1894 Reymont odbył pielgrzymkę na Jasną Górę. W roku następnym wydaje artystyczny pamiętnik z tej pielgrzymki. Jest to ważny dokument psychologiczny. Posiada dla charakterystyki osobistości twórcy wartość podwójną. Po pierwsze — stwierdza, że dusza artystyczna siedziała u Reymonta w oczach. Chłonie on niemi po drodze wszystko: mijane okolice, spotykane postacie, dostrzegane zjawiska atmosferyczne. Po drugie — wykazuje jasno jak na dłoni, że Reymont jest urodzonym piewą uczuc zbiorowych, nieznającym malarstwa, tłumem, opawanym żywiołową ekstazą. Po trzecie wreszcie wydobywa na jaw Reymontowską religijność.

Idzie o rok bieżący

(Dokończenie ze str. 5)

go materiału. Część wniosków wyciągnął już towarzyszy Nowakowski. Ale to jeszcze nie wszystko. — Zajął się do zeszytu i mówił dalej:

— Dzisiejsza dyskusja wykazała, że nasza organizacja partyjna w swojej pracy zapominała o najważniejszym zadaniu, zapominała o produkcji i oderwała się od niej. Oderwaliśmy się także od ludzi. Nie wkładaliśmy w życie fabryki, w bolączki robotników, jednym słowem — chcieliśmy całą robotę poprowadzić z za biurka. I to się na nas zemściło. Gdybyśmy więcej żyli produkcją, moglibyśmy uniknąć większości popełnianych dotąd błędów. Stałoby się dla nas nauką na przyszłość. Musimy zmienić styl naszej pracy!

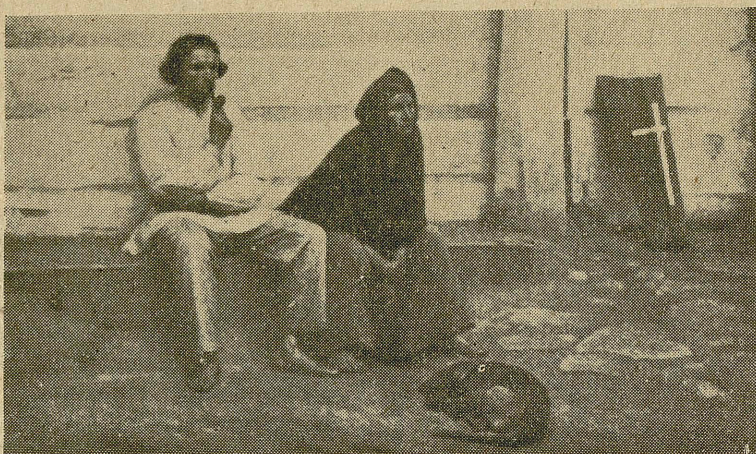
Zebrań zostało zakończonych i uczestnicy wstali z miejsc, tworząc kilka grup, w których omawiali jeszcze refleksje, jakie im się nasunęły podczas narady. Dyrektor Szymczak przeszedł do korespondencji, który zbierał swoje notatki.

— Napisać o tym wszystkim? — zapytał. — Bo mnie się wydaje, że to są nasze „wewnętrzne brudy”. Wypraliśmy i po co o tym mówić? — Jasne, że napiszemy. Przecież ta narada dała bardzo ciekawy materiał, z którego mogą skorzystać i inne fabryki. Takie narady, na których analizuje się pracę ubiegłego roku, odbywają się obecnie w wielu fabrykach. Materiał z naszej narady pomoże im rozwiązać własne trudności. Niech skorzystają z naszego doświadczenia.

Dyrektor Szymczak nie był jeszcze zupełnie przekonany.

Bolesław Lesman.

Jest to religijność człowieka, niekniętego wątpliwościami i sceptycyzmem, religijność konstytucyjna, ustanowiona — nie zaś osobiście zdobyta po rozlicznych błędach i debatach. Ten sąd o „Pielgrzymce”, jakkolwiek został sformułowany w 34 lata po napisaniu dzieła, zastępuje nam znakomicie w sposób już „społecznie zobiektywizowany” głos tych kół, które w zupełności określonym celem wciągały młodego autora „Śmierci” do kręgu pisarzy, których zadaniem było tworzenie nadbudowy dla feudalno-kapitałistycznych stosunków społecznych. Potwierdza to współczesna „naukowo-obiektywna” wypowiedź Z. Wasilewskiego:



Gierymski Aleksander — Trumna chłopka

„Utalentowany powieściopisarz p. Reymont, odbył pielgrzymkę z Warszawy do Częstochowy. Owoc literacki tej wyprawy nie należy jednak do literatury geograficzno-podróżniczej, albowiem pielgrzymka sama nie miała celów krajoznawczych. Autor podróżował nie sam; przylączył się do licznej (z 4.000 osób złożonej) kompanii patników, dających z pobudek religijnych do cudownego obrazu M. Boskiej Częstochowskiej. Ten tłum patników był właśnie przedmiotem jego obserwacji. Kompania składała się z przedstawicieli kilku warstw ludowych: pła obojętnej. Była tam maziowiecka szlachta zagonowa, chłop z pod Warszawy, wreszcie drobni mieszczanie z Pragi. Lecz autor nie patrzył na nich oczyma etnografu lub antropologa; jest artystą i psychologiem, a interesuje go przede wszystkim jedna władza wewnętrzna tej masy: uczucie religijne, które ją, tak niejednolitą, skupia w jedno ciało i pędzi w daleką drogę, znieczulizując na udręczenia fizyczne.

Wrażenia i obrazy p. Reymonta, pochwycone i ułożone artystycznie, są poematem zbiorowego uczucia, dającym wiele wzruszeń estetycznych; nie znaczy to jednak, aby luźne obserwacje składające się na te obrazy, nie miały wartości dla etnografii” (2).

Tyle prawica społeczna. Zobaczymy teraz, co miał do powiedzenia na temat „Pielgrzymki”, „radykal” Lorentowicz, serdecznie zaprzyjaźniony z Reymontem, jego przewodnik po Paryżu w roku 1896, gdy autor „Komediantki” i „Fermentów” po sukcesach w kraju, zaczyna śladem „młodopolskich pisarzy” okres swoich zagranicznych wojaży. Swoją artykuł o pierwszym okresie twórczości Reymonta krytyk ujmuje w formę swobodnej rozmowy z autorem (jest to niewątpliwie rezultat istotnie toczonych rozmów na tematy literackie):

— „Zrobiłeś nam wszystkim — zawołałem — prawdziwą, ogromną przyjemność swoją „Pielgrzymką do Jasnej Góry”, nie dlatego żebyś nie pośpiesznie listy uważał za arcydzieło, ani nawet za dzieło, na jakie się stać, ale sam temat jest porównawczy. Czyż można sobie wyobrazić w literaturce pogoni za pomysłami co bardziej ponętnego, jak przedstawienie prastarego, średniowiecznego zjawiska, które co roku odbywa się w naszych oczach z wytrwałością i niezmiennością zdumiewającą? Wniknąć w serca szarej rzeszy, co o głoście i niedostatku, pędzi z dalekich stron na Jasną Górę, aby się wyzłazić na swoje nędze i bóle, odczuć te wszystkie potężne dreszcze, te błogie nadzieje i złudzenia, to pomieszczenie nadziemskich uniesień z codzienną zwierzęcością — to przecież temat do olbrzymiego, wstrząsającego obrazu! Temat istniał oddawna, a dopiero po twojej „Pielgrzymce” zwrócił na siebie powszechną uwagę.”

„Ile razy wdzierasz się istotnie w tłum, ile razy drżysz jego dreszczami — masz i siłę, i szczerość, i plastyczność. Wyborne są żydki z Turcji, tam, troskliwie, czy pielgrzym dojdzie w złych butach do Matki Boskiej; święta jest rozmowa szlachcica zagonowego z chłopem; obrazem — kaganie starszego brata; barwnym i pesymistycznym — koń rozszalały, gdy wpada na kompanię i trąci czterech kobiety. Dopiero jednak w ostatnim dniu pielgrzymki, kiedy tłum spostrzeżę w mgłę wieży jasnogórskiej — wchodzisz zupełnie w ton. Szkoda, że znalazłszy się w samym kościele jasnogórskim wolał: „Tutaj nie jestem w stanie dać nic — com uczuł sam, zostawiłem dla siebie”. Pomnę, jak przedziwnego wrażenia doznaje się w kaplicy jasnogórskiej, kiedy rozszalała ekstaza kompania wpada pół-przytomnie, rzuca się krzyżem na ziemię i jednym wielkim rykiem wali w sklepienia. Gdzie dziś w Europie znajdziesz taką scenę? Zamiast niej, wolał mszę w dniu wyjazdu i teatralny obraz cudu.” (3)

Przytoczone opinie, te z prawa (Wasilewski, Falkowski) i te z lewa (Lorentowicz) — są z sobą zasadniczo zgodne. Lorentowicz wprowadził trochę grymasu, zarzucając autorowi, że niepotrzebnie wdał się w tę całą historię z ojcem Prokopem: „gdysieś to rozprawiali o „różnych kierunkach, panujących w literaturze i nauce” i o rzekomej „reakcji na korzyść katolicyzmu i wiary, jaką czuć wszędzie”. Takie zwierzenia przysporzyły może abonentów pismu, uprawiającemu „bankructwo wiedzy”, ale w szczerej obserwacji razią jak niemiły grzyt.” (4)

Lorentowicz, współredaktor „socjalistycznej” Północy (1892) interesuje sprawą pielgrzymki jako „te-

lumu, w którym był pierwotnie jako kropla tłuszczu na powierzchni wody, odsłania duszę swoich towarzyszy. Może nie zamierzając, dał on nam powyższy przyczynek do psychologii gromadnej.” (5)

Krzywicki w swojej rozprawce potrafił jednak odkryć cały mechanizm praktycznego organizowania „ekstazy religijnej”, jaka ogarnia pielgrzymią gromadę:

„Istnieje też w kompanii hierarchia organizatorów, których zadaniem jest podniecać ducha, zagrzewać upadających, gromić knabrych, walczyć ze swawolą i rozpustą. Oni to poddają pieśni, które swoim brzmieniem skracają czasy drogi, oni to na noclegach czytają ustępy święte”.

Autor przywołał cytaty z „Pielgrzymki”: „Gdzie wy idziecie, bracia i siostry — woła jeden z takich kierowników gromady o świecę pod krzyżem, karcąc ją za dostrzeżoną swawolę. — Czy idziecie na jarmark? To czemu krzyż jest z wami? Czy do karczmy na zabawę albo na wesele? To czemu pobożne pieśni śpiewacie, i mienia boskiego używacie? Bo wy nie idziecie na odpust, ludzie, nie! Na odpust idziecie, a nie do Matki Najświętszej”.

Krzywicki wyciąga dalej wniosek w kategoriach socjologa ze szkoły burżuazyjnej:

„Ci bracia starsi są to ludzie prości, ale umiejący przemówić do serc prowadzonej rzeszy i braci tony na tym instrumentie tworzącej się zbiorowości, dzielną w radzie, stanowiąc w potrzebie”. Nie widzi on, że ci „bracia starsi” to zawodowi organizatorzy pielgrzymek do miejsc kultu religijnego. Znają ich starzy chłopscy korespondenci, jak chociażby 80-letni Piotr Wyrobek, który na łamach „Wiś” pokazywał: „talentego „brata starszego” — czerwonego organizatora pielgrzymek do Kalwarii Zebrzydowskiej. Organizowanie tych „imprez” zapewniało mu warunki utrzymania, wyrównywało mu budżet roczny, wiązało go z wieloma interesami z plebanii. Krzywicki nie dostrzega, że jest to jeden z feudalnych przeżytków, z którego w kapitalistycznej epoce ciągnąć można korzyść. Pielgrzymki, odpusty to jeden z elementów organizowania uczuć religijnych, jeden z elementów posiadający swoją wyrobioną technikę. Przesłanki do tego wniosku znajdujemy na kartach „Pielgrzymki”, podaje je zresztą sam Krzywicki:

„Istnieją po drogach przybytki, równie przeznaczone do oddziaływania w tym samym duchu. Są to kościoły, nierzadko, przydrożne krzyże. Tam kompania staje na czas jakiś, orzeźwi się w kapeli podnieconego zachwyty, wzmacni swoje siły duchowe na dalszą drogę”.

Powiedzieliśmy już, że Krzywicki nie dostrzega klasowej funkcji „Pielgrzymki”. Na autora „wrażenia i notatek” patrzy, jako na podmiot doznający i rejestrujący „psychologię” gromady patniczej. Nie widzi natomiast pisarza, który celowo konstruowanym obrazem literackim walczy z krąg organizatorów „pielgrzymich imprez”. Po pod tym kątem zostało dokonane „niepisane” zamówienie pod adresem autora, które on dobrze wykonał, jak postaramy się to udowodnić w drugiej części naszego artykułu. Krzywicki traktuje Reymonta z całą naiwnością prostolinijnego, uczuciowego człowieka:

„Dla osoby zbyt wrażliwej, która nadto nie rozporządza wyrobionym przebiegiem do sądnienia o doniosłości tego lub innego objawu w życiu społecznym, istnieje przecież w pielgrzymce pewne niebezpieczeństwo: jaźn zbiorowa chwytja ją w swoje szpony, ubezwładnia ekstazą i podsuwa ocenę, która będzie i być musi pochwałą. Wł. Reymont jest właśnie takim człowiekiem: polyka wrażenia, które zewsząd napływają do mózgu i w nim pozostawiają swój oślad w postaci obrazów. Bezbronny wobec tych napastników nie może być bezstronny i przedmiotowy. Upojony falowaniem uczucia zbiorowego, zachwycony prostotą stosunków pomiędzy ludźmi, jaka obowiązuje i panuje w gromadzie patników, ubezwładniony przez naiwną otwartość i brak konwencjonalizmów, otrzymuje wrażenia kładzie na karb nie zawsze właściwej przyczyny, ale przypisuje wpływom dogmatu. Nie chce przez to powiedzieć — dodaje Krzywicki — żeby autor pielgrzymki bronił tej tezy, lecz jego poczucie artystyczne wpłata taki na pół niewypowiedziany wniosek w opowiadanie i zabawia ją pewną niechęcią dla umysłowości, która otrząsała z siebie filozofię, mającą na wszystko z góry gotową odpowiedź” (7). My przypominamy, że „Pielgrzymka” była drukowana na łamach „Tygodnika Ilustrowanego” równoległe z rozprawą ks. Wł. M. Dębickiego: „Wielkie bankructwo umysłowe”, że udział Reymonta w pielgrzymce był pierwszą w naszej tradycji świadomą organizacją życia literackiego próbą wysłania pisarza w „teren”, próbą podjętą przez burżuazję dla zupełnego określenia celów, które nie wspólnego nie miały ze spontanicznym, „samorodnym” piarstwem; przypominamy ponadto, że są to lata (1894) zastraszające się walki klasowej w naszym kraju i w całej Europie, że w Królestwie Kongresowym działała już wówczas zorganizowana partia robotnicza, jak i w całym świecie kapitalistycznym, że

są to lata wreszcie silnego wzrostu Watykanu z burżuazją, że burżuazja wtedy sięga po religię jako narzędzie obrony własnych, zagrożonych interesów. W tej sytuacji należy rozpatrywać funkcję dzieła, należy analizować jego elementy konstytutywne w ich przesłankach ideologicznych i służącym im wyrazie artystycznym.

Jest rzeczą jasną, że Krzywicki nie ocenia „Pielgrzymki” z pozycji marksistowskich, i o to nie będzie z nim toczył sporów. Ważne są dla nas wnioski, jakie wysnuł on z analizy utworu, ważne ze względu na Reymonta w tym, co nazwalismy „sygnalami ostrzegawczymi”.

Krzywicki na końcu swojej rozprawki mówi: „Religijność więc ludu wiejskiego posiada właściwą swoją fizjonomię, która wypływa z warunków bytu... Naturalnie, póki istnieje osada wiejska, już przez sam swój ustrój gospodarczy skazana na rutynę, dopóty pierwiastek taki będzie tam istniał, skutecznie opierając się wszystkim oddziaływaniom ze strony ideologów septycznych (chyba że zryf ze względu na cenzurę, bo przecież sensownie byłoby powiedzieć: ideologów marksistowskich — przyp. nasz. L. S.), choć bądź co bądź zmniejszać się on będzie, bo musi. I z drugiej strony, technika, dając kosiarkę zamiast kosy, żniwiarkę zamiast sierpa, usuwa znowu dawne pierwiastki fizjologiczne ekstazy i dąży do nadania jej innej postaci. A zatem objawy uczucia „religijnego” są naprzód niezależne od dogmatu, powtóre zaś stanowią funkcję czasu i zmieniają się z ukształtowaniem warunków bytu.” (8)

W kręgu przytoczonych opinii kształtowała się pisarska świadomość Reymonta. Późniejsza jego literacka praktyka pokazała, że poszedł po linii wytyczonych przez krytyki, która oceniała dzieło pod kątem interesów burżuazji. Blizni mu byli: Z. Wasilewski, J. Lorentowicz, I. Matuszewski niż reprezentant radykalnej inteligencji polskiej. — Ludwik Krzywicki.

Wdaliśmy się w tę długą analizę sądów o „Pielgrzymce”, aby wykazać, że autor na swoim etapie warszawskim (rok 1894 — 95) mógł korzystać z różnych wpływów, mógł wyciągać pisarskie wnioski z krytyki Krzywickiego — lecz ich nie wyciągnął, by przejść całkowicie na pozycję pisarską związaną z ideologią burżuazyjną. W kategoriach tej ideologii będzie on kształtował wizję wsi w swoim fundamentalnym dziele — „Chłopi”.

Gdy w 1902 roku będzie pisał w Paryżu pierwsze partie swojej „chłopskiej epopei”, taki list otrzymał od swojego, od czasów „Pielgrzymki”, wydawcy Włofa:

„Kochany Panie Władysławie. List Wasz z końcem cz. I otrzymałem. Matusz. (ewski oczywiście — przyp. nasz. L. S.) chorował nieco, ale pisze o Was artykul, w którym odwoła wszelkie dawniejsze zastrzeżenia (z okresu nowel „Kronoskich” — L. S.) co do Waszego talentu. Jednym słowem udam nam się Reymont! Oby tak dalej! Od N. R. gdy będę miał większy zapas „Chłopów”, będę dawał większymi partiami... R. 250 złacząc, jakkolwiek pragnął pan ostatnim razem nie już nie brnąć do czasu ostatecznego obrachunku. No, ale mądra się w Paryżu nie żyje!” (9)

Jakżeż zmieniła się sytuacja od czasów pierwszych kontaktów młodego autora z koncernem „Włof i spółka”, gdy w styczniu 1894 roku odchodził on, autor „Śmierci” i „Franka” od drzwi redakcji „Tygodnika Ilustrowanego” bez grosza na obiad. Teraz znowu pan Włof sam naprasza się z pieniędzmi, no bo „udam nam się Reymont”!

Za swojego pisarza ma go i krytyk, zaraz zobaczymy jaki:

„Kotlice, 3 kwietnia 1905 r.
Tyszwice, gub. Lubelska

Szanowny Panie.

Po przeczytaniu dwóch tomów, obecnie czytamy tu w Tyg. Ilustrowanym trzeci znakomity utworu „Chłopi” Szanownego Pana z takim talentem i wielką znajomością ludu naszego napisanego tak jak nikt dotąd tego nie uczynił. Zachwycając się pańską powieścią pragnęliśmy, aby przy tym, choć paru rysami, był przedstawiony próboszcz wiejski z dodatniej strony, bo dotąd w „Chłopach” przy fotografowaniu całego życia ludu, widzi się próboszcza tylko z biernej, lub nawet z ujemnej strony. A przecież bywają różni? Jak i „dzieci” różne więc i o dobrym dziedzicu „słowo” byłoby pożądane. — W „Requiescat in pace” ks. Z. Chelmeckiego, jakże pięknie wiejski próboszcz występuje. — Daruję mi Szanowny Pan, że ja hreczkoję w siódmym krzyżyku będący a profan w beletryście — osmielam się narzucać Szanownemu Panu uwagi i myśli moje do dzieła tak znakomitego!

Z poważaniem
Edward Rulikowski” (10)

W ten sposób zamykał się krąg wspólnoty: interesów, upodobań, funkcji pisarstwa. Trzy elementy: autor, wydawca, czytelnik — ludzie już jednej klasy. Dlaczego się tak stało? Dlaczego Reymont zdradził samego siebie z swojego „kronoskiego okresu”?

Dla ilustracji tego procesu przytoczymy fragmenty ze wspomnień Lorentowicza o Reymencie. Czytelnik otrzyma w nich dwa obrazy autora, w dwóch różnych momentach jego życia.

„Tegoż dnia (różne dzieje się w Paryżu 1894 roku, jeszcze przed

„Pielgrzymką” — przyp. nasz. L. S.), pod wieczór p. Sulicka podejmowała swych gości tezewych czarą na kawę, zdala od innych, pod ścianą stał w milczeniu młodzienc w butach z cholewami.

Zaintrygowany, zapytałem świeżo upieczonych doktorki, kim jest ów tajemniczy pan.

— Młody literat. Przyjechał z Drzewieckim. Nazywa się Reymont.

— Reymont?... Wiedziałem o jego talencie, więc zacząłem od razu lekkiego gościa, wyprowadziłem go na balkon, obypałem komplementami za nowelę: „Śmierć” i „Frank”, które niedawno czytałem... Reymont był wzruszony. Rozgadał się szybko. Poprawiał widać niesforne czupryny, mówił z zapalem o swoich planach najbliższych.

Zaprosiłem go nazajutrz na obiad i pokazałem Paryż. Dr Drzewiecki o swoim pupilu podróżnym mało pamiętał. Zabrał Reymonta do Londynu na własny koszt, ale zostawił go na bruku paryskim bez grosza. Postój w Paryżu trwał zaledwie kilka dni. Reymont pożerał oczyma dziwy wielkiej stolicy i rzucał kiedy niekiedy krótkie słowa zachwytu: — Psiakrew! albo „Cho-lera”. Przy rozstaniu dał mi z żarem obietnicę: — Ja tu niedługo przyjadę!..

Przyjechał dopiero w koniec listopada 1896 r. Stał u mnie i przemieszkaliśmy razem kilka lat. W długich rozmowach z towarzyszem codziennym, stwierdziłem od razu, że mam do czynienia z człowiekiem bez żadnego wykształcenia. Ogromny talent pchnął go na fale życia i Reymont niby gąbka, wssysał chciwie wszystko, co słyszał około siebie. Skromny podróżnik sprzed dwóch lat zmienił się do gruntu. Był upojony powodzeniem „Pielgrzymki do Jasnej Góry”, „Komediantki”, „Fermentów” i „Spotkania”. Warszawski świat literacki znał na wylot i wygłaszał o nim zdania bezwzględne. O swoich personaliach mówił często i za każdym razem inaczej.

„Najwięcej przeżywał w modnej w owe czasy (dziś już niestniejącej) „Cafe du Pantheon” przy rogu bulwaru St. Michel i rue. Soufflot. Zbierał się tam literaci polscy, czasowo zamieszkał w Paryżu: Konstanty Górski, A. Potocki, W. Kosiaiewicz, (przez jakiś czas Przybyszewski i Rydel) oraz gromada malarzy z K. Markiewiczem na czele. Gawędy kawiarne były dla Reymonta szkołą średnią, a częściowo i wyższą. Z nadzwyczajną chciwością chłonił w siebie wszystko, co pomyślał... Gdy nazajutrz przy rannej kawie, ośniewał mnie nabytymi świeżymi wiadomościami, łatwo mogłem odróżnić źródła, z których pochodziły. Wieczorami zachodził niekiedy do musie — hallów, do cyrku; w teatrach nie był nigdy zupełnie, bo nie rozumiał. Najchętniej spędzał wieczory u znajomych. Przyjaźnił się z Dmowskim, p. M. Kińskim i z „Batiniolami”, tj. z Polakami, mieszkającymi na Batignolles, których w naszej grupie uważaliśmy za wsteczników. Tematów politycznych nie poruszaliśmy w rozmowach. Razil Reymonta mój radykalizm. Więc unikał dyskusji. Późnym wieczorem wracał do domu i czasem czytywał powieści polskie, najczęściej zaś zanurzał się w „Kurjerze Warszawskim”, który wertował od deski do deski, dowodząc, że ogłoszenia dają mu więcej wiadomości o życiu warszawskim, niż artykuły.” (11).

Tak zamknął się pierwszy etap twórczości autora „Chłopów”. Składał on się z wyrażnych dwóch okresów: okresu „Śmierci” i okresu „Pielgrzymki”. Intencją naszego szkicu było pokazać czynniki determinujące pisarstwo Reymonta w określonym czasie historycznym. Staramy się odsłonić: *pochozenie społeczne, sytuację społeczną, wpływy ideologiczne*. Na tym etapie jego pisarstwa trudno było mówić o wpływach literackich, ponieważ dopiero po „Pielgrzymce” autor zaczyna się czuć literatem z zawodu, zaczyna się świadomie oglądać za wzorami, doradcy podsuwają mu lekturę; ślady tych lektur odnajdujemy już w „Fermentach”.

Jeśli czytelnika to zainteresuje a redakcja „Wiś” pozwoli, postaramy się w następnym numerze dotrzeć do źródeł, na początku artykułu obietnicy, i zanalizować „Pielgrzymkę” od strony jej sprzeczności wewnętrznych, które dały w wyniku skłócony wyraz artystyczny. Zobaczymy na tej analizie, jak narzucona ideologia walczyła z realistycznym widzeniem rzeczywistości, które cechowało buntujące się przeciw kapitalistycznym stosunkom młodego, przedwarszawskiego Reymonta.

Leonard Sobierajski.

* Patrz nry „Wiś”: 50, 51 (rok 1950), 4 (rok 1951).

1) Zygmunt Falkowski: Władysław Reymont, Poznań. 1929 (str. 28).

2) „Wiś” 1895 (str. 429).

3) Jan Lorentowicz: „Młoda Polska” (II). 1909 r. (str. 116—119).

4) tamże, str. 117.

5) Ludwik Krzywicki: „Do Jasnej Góry”. „Prawda”, rok 1895. nr-y: 28, 29, 30.

6) „Prawda”, rok 1895, str. 28.

7) „Prawda” nr 29, rok 1895.

8) „Prawda” nr 30, rok 1895.

9) Przekład z rękopiśmiennej korespondencji archiwum Reymontowskiego — Ossolineum.

10) tamże.

11) Jan Lorentowicz: „Spojrzenie wstecz”, Warszawa, 1935.

Dokumenty z tych czasów

Witold Billip

„W chwili smutku...”

Pierwsze wydanie książki Brzozy^{*)} ukazało się w r. 1937, nakładem „Raju”. Powojenne wznowienie wzbogaciło autor o partie usunięte lub zniekształcone przez redakcję wydawnictwa. Nie tylko brutalność czy beceremonialne kręctwo klasowej cenzury „Raju” sprawiły, że jak stwierdza sam autor, powieść „Budowali gmach” jest dla współczesnego czytelnika „tylko dokumentem w pewnym sensie historycznym”. Dokument to jednak niewątpliwie przekonywujący.

„Budowali gmach” to historia powstawania osiedla mieszkaniowego dla urzędników. Konstrukcja fabularna powieści — w zasadzie jednolita — jest bardzo prosta. Bezrobotny murarz Andrzej Wytko dostaje pracę na budowie dzięki przypadkowej protekcji nadzorczy technicznego robot. Wzięty przez właściciela i pracowników prywatnej firmy budowlanej oraz przez klikę drobnych „przedsiębiorców”, wieszających się przy budowie, za szpiega nadzorcę mającego donosić o popełnionych nadużyciach, staje się ofiarą sprytnych gry. Po nieudanych próbach przekupstwa zgarnia szajka rozpoczyna serię dokuczliwych szykan, licząc, że zaszczuty robotnik sam się usunie. Praca na budowie staje się jednak decydującą szkołą świadomości klasowej w życiu Andrzeja — osobisty konflikt z przedsiębiorcami ułatwia mu zrozumienie wielu sprzecznych kapitalistycznego wyzysku. Andrzej styka się z partią, postanawia walczyć — i kończy w więzieniu, jako „niebezpieczny element wyrotowy”.

To pocięcie streszczenia, zawierające tylko główny wątek powieści, nie wyczerpuje treści książki. Już od pierwszych stron czujemy, że głównym zamiarem autora było ukazanie prawdy o stosunkach w przemyśle budowlanym i w „społecznym budownictwie” w okresie międzywojennym. Z pasją odsłania Brzoza kulisy tej wielkiej afery, jaką było w owych czasach podobne przedsięwzięcie — widzimy gromadę szkal — różnych mniejszych i większych przedsiębiorców w walce o podział łupów. Szwindel, przekupstwo, wzajemne szpiegowanie się, wysysk robotników, A obok, na polu, gromada bezrobotnych. Czekają. Są niepotrzebni. Ci nie dostaną pracy na budowie. Pokątni „przedsiębiorcy” poleca bowiem firmie „swoich bezrobotnych”, godzących się na wynagrodzenie protekcji „godziwym procentem” głodowych plac.

Tu demaskatorski realizm autora świeci triumfem. Świetnie są sylwetki zarówno ludzi „solidnej firmy budowlanej” — legalnych władców robotniczego losu — jak i małych pijawek żerujących na marginesie ustroju, wysysających zarówno jego normalne sprężeczki, jak i schorzenia — Przytomskiego, Ducampa, Linka. Szerog sugestywnych obrazów ukazuje codzienny dzień wyzysku na budowie oraz chwile wzburzenia i walki robotników. Najbardziej uderza swym realizmem i prawdą artystyczną opis betonowania stropu na akord. Pracująca maszyna — betoniarzka stwarza w tym obrazie jakiś potworny rytm nieludzkiej pracy, bezsensownego, zwierzęcego wysiłku. Szybkiej, szybkiej, dostaniecie większą wypłatę — złudzenie! Więcej tylko zgarnia kapitaliści.

Strak. Tępy, zacieklej upór robotników i krętkie intrzygi przedsiębiorców. Kapitaliści zwyciężyli. Miel przeciż wykształcenie, znali prawo i sposoby jego omijania, mieli do rozporządzenia policję, bał się ich oportunistyczny związek zawodowy, służył im sąd pracy.

Potworny wysysk i bezskuteczne próby rozpaczliwej walki — oto co pokazuje książka Brzozy.

„Niestety, powieść jest pesymistyczna, gdyż takie były czasy i w takim nastroju był autor — mimo niezachwianej wiary w lepszą przyszłość mas robotniczych. Książka ta powstała w zwykłej, ludzkiej chwili smutku” — pisze autor we wstępie do przedwojennego wydania książki. Ten wstęp trzeba koniecznie przeczytać. Wyjaśni on wiele rzeczy.

Lewicujący pisarze okresu międzywojennego tworzyli w dusznej, przytłaczającej atmosferze szybko fraszującej się Polski. Wywodząc się w większości z mieszczańskiej inteligencji, odcięci od walczących mas robotniczych klasową barierą, widzieli całą podłość, całą beznosną otaczającą ich rzeczywistość. Nie chcieli jednak lub nie umieli pokazać klasie robotniczej drogi wyjścia, wezwali do walki. Nie pisali zresztą dla robotników, w warunkach kapitalizmu robotnik nie jest masowym odbiorcą literatury. Pragnęli raczej wstrząsać sumieniami mieszczańskich czytelników. Stał też atmosfera koszmarny bez wyjścia w książkach Boguszewskiej, Zarembiny, Górskiej — żeby wymienić kilka tylko reprezentatywnych nazwisk. Osobny nurt międzywojennego pisarstwa stanowiła tzw. literatura proletariacka. Borykając się z obciążeniami, wynikającymi z

ogólnej atmosfery literackiej okresu — z najgorszymi tradycjami żeromszczyzny, z ekspresjonizmem, naturalizmem, dawali oni jednak w swych utworach prawdziwy obraz ówczesnego życia, odsłaniali jego istotne, klasowe siły napędowe, pokazywali klasową podszewkę konfliktów. W kręgu oddziaływań ideologicznych tego nurtu literackiego powstała niewątpliwie książka Brzozy. Dzięki swej śmiałej pasji oskarżycielskiej stoi ona bliżej Wasiłewskiej niż literatury drobnomieszczańskiego „małego realizmu”. Autor nie tylko widzi zło, widzi także jego przyczyny i z całą pasją je odsłania. Już to tylko, że konflikt społeczny książki to konflikt typowy, o charakterze klasowym (walka pracy z kapitałem) że linia podziału przebiega jasno i bezwzględnie, że nie ma żadnej „trzeciej siły”, stawia powieść Brzozy w rzędzie najbardziej bojowych, klasowych ideowo, powieści dwudziestolecia.

Ale wróćmy jeszcze do najważniejszej wady książki: pesymizmu. Pesymizm to jeden z najmniejszych „zygzaków” ideowych powieści. Polega on na słabości pozytywnego odpowiednika negatywnie przedstawionej rzeczywistości. Bo spojrzmy tylko. Czy postać Andrzeja ma w sobie tyle życia, tyle prawdy, co sylwetki małych a wszechpotężnych mikrobow rozkładających się kapitalizmu? A przecież Andrzej to najlepsza piarsko postać obozu pracy. Brzoza niedwuznacznie sugeruje, że jedyną siłą, która staje do walki, są komuniści. Tak, ale jakże mgliście przedstawiona jest Partia! Brak w obrazie jej rzeczywistego działania lata autor opisem zebrania, a właściwie przytoczeniem treści przemówienia na tym zebraniu. Przemówienie „małego człowieka o śmiertelnie bladej twarzy, czarnych włosach i oczach” zawiera w płaskim skrócie program polityczny KPP. Jest to łatwizna, mocno przypominająca niefortunną scenę zebrania partyjnego w „Mieście nielarzmionym”. Zresztą tej nawet słabą w wyrazie scenę usunięto z przedwojennego wydania, pozostawiono książkę nawet tak drobnego optymistycznego akcentu.

Aresztowanie Andrzeja w mo-

mencie jego pierwszego wystąpienia, w momencie gdy mówi on bardziej jeszcze dla siebie niż dla słuchaczy, by formułując słowa swego gniewu i krzywy samemu sobie uświadomić lepiej sens przeżytych doświadczeń — uderza jako akcent beznadziejności wszelkich buntowniczych porywów. Wadliwie zresztą została postawiona sprawa przemówienia Andrzeja. To egzaltowany, nieprzemysłowy wybuch, w którym Andrzej demaskuje się jako mechaniczna pozytywna agitator partyjny — „To on mówił teraz ustami Andrzeja, że klasa robotnicza musi skupić swe siły...” — to nie jest właściwa droga ukazania ideowego dojrzewania bohatera.

Mimo pewnych dłużyzn, zwłaszcza we wstępnych partiach, akcja powieści biegnie wartko, „wciąga” czytelnika. Język trochę chropawy, ale czysty i mocny, miejscami bardzo sugestywny. Ani sładu „jęziki”, po męsku pisaną powieść. Mocną stroną autora wydaje się dialog: każda z postaci mówi swoim własnym, dostosowanym do jej ogólnej sylwetki językiem. Brzoza unika statycznego opisu. Jego obrazy piarskie są zawsze dynamiczne, budowane na elementach ruchu i zmian. Za przykład może tu posłużyć choćby pierwsza strona książki — opis podmiejskiego pola. Najlepsza chyba piarska partia książki — wspomniany już opis akordowej pracy przy betonowaniu stropów — to poważne osiągnięcie w zakresie tak pojętego obrazowania.

Powieść Brzozy w pełni zasłużyła na wznowienie. To dobra powieść. Będąc produktem „chwili smutku” mocnego i uciwczego piarsza staje się dziś dla nas cennym dokumentem smutnych dla klasy robotniczej czasów międzywojennego dwudziestolecia.

Jeszcze jedno. Podczas okupacji czytałam powieść Jana Brzozy o dziełach wielkomiejskiej ulicy. Książka nosi tytuł „Dzieci”. Pamiętam ogromne wrażenie, jakie na mnie wywarła. Czy i tej pozycji nie należałoby wznowić?

Witold Billip

*) Jan Brzoza: „Budowali gmach”, Warszawa 1950 „Książka i Wiedza” str. 237, 80.

Halina Rybicka

Bezrobotni Warszawy

Drugie po wojnie wydanie książki Janiny Brzostowskiej^{*)} świadczy o uznaniu wartości tej pozycji jako dokumentu literackiego, ilustrującego dzieje Warszawy kapitalistycznej.

Z jednej strony wielkomiejskie tempo życia w dzielnicach ludzi bogatych, wytworne lokale, dyskretnie i ze smakiem urządzone wystawy magazynów, zapelnionych tłumami nie dbających o cenę klientów, reprezentacyjne ulice w centrum miasta, błyskające z nastaniem mroku światłem różnobarwnych neonów i wypielione gwarem fali ludzkiej. Z drugiej strony kręte uliczki dzielnic robotniczych, rudery prawie zupełnie pozbawione światła dziennego, a zamieszkałe przez rodziny licznym obciążone potomstwem, żułki Bródna i Pelcowizny aż hen, ku osiedlu dla bezrobotnych na Anopolu.

Taka Warszawa pozostała już daleko poza nami, choć dzieli nas od niej okres jednego dziesięciolecia. Widno nagłych kryzysów, połączone z klęską bezrobocia, odsuwającego setki ludzi od procesu produkcji i pchających ich na skraj ostrej nędzy naley bezpowrotnie do przeszłości, jako związane organicznie z ustrojem kapitalistycznym. Ludzie nowej rzeczywistości wciągani w potężniejszy coraz bardziej rytm odbudowy, wznoszący własnymi rękami monumentalne konstrukcje architektoniczne socjalistycznej Warszawy, zapominają o zmorze nadprodukcji; — pokolenie powojenne zna ją tylko z opowiadań. Słusznie więc powiada w przedmowie do „Bezrobotnych Warszawy” B. Dudziński: „Powieść Brzostowskiej dając pojęcie o tym, jak było w Polsce w czwartym dziesięciu naszego wieku, uwiadamia dystans dzielący nas od owych czasów: pozwala lepiej uchwycić ocenę wielkości i znaczenie przebytej drogi...”

Powieść Brzostowskiej o ludziach wyrzuconych przez utratę pracy „poza nawias społeczeństwa” ukazuje dno, na jakie spycha ich wrogi człowiekowi ustrój. Bo jedyną szansą rozbitków jest już tylko życie przestępcy — zerowanie na cudzej słabości, wydzieranie ochlapów sytem, upodlenie swej godości ludzkiej. Tylko bogaty przyjaciel mógłby ocalić Łucję przed gruźlicą; spółka z szajką fałszerzy pieniędzy jest jedynym wyjściem dla Wronskiego; Franek utrzymuje się na powierzchni życia dzięki drobnym kradzieżom.

Ci, co za słabe mają pięści i pazury, aby wziąć udział w „walce o byt”, padają ofiarą takiego stanu rzeczy — nie rzadko skracając sobie życie samobójstwem. Łagodny, cierpliwy chłop Góra dobry i pracowity robotnik z pewnością zginałby na bruku miejskim, gdyby nie rozpaczliwa energia jego chorowitej i ułomnej żony, dźwigającej na swych barkach ciężar troski o całą rodzinę i w konsekwencji „kilkakrotnie karanej za kradzież węgla”.

Najbardziej przejmujące partie książki obrazują bohaterską a jakże ciężką walkę tych ludzi z głodem, opuszczeniem, brakiem sił, własną słabością, które spychają ich na dno, odbierając szacunek dla samego siebie.

„Nie chciałem kraść! Za nic nie chciałem — zwierza się Franek — I dziś jeszcze, gdyby mi kto pracę uczciwą dał, rzuciłbym to wszystko, zabrałbym się do innego życia...”

„Inne życie” jest jednak mirażem. Nie ma powrotu z dna. Uczciwie zdobyć pracę próbuje naprzód i Wronski i Łucja. Łucja, głodna i zziębnięta wydeptuje progi mieszczańskich kuchni słysząc wszędzie wzgardliwą odmowę, jeżeli nie obelgi — to tylko rozwija w niej śmiertelną chorobę. I nie ma powrotu do normalnego życia dla ludzi notowanych w kartotekach policyjnych jak Wronski czy Franek. Natomiast żywot drobnego złodzieja nie pociąga za sobą wielu niebezpieczeństw — kto wie, czy nie spotyka się z cichutką pobłażliwością „władzy”. Bo przecież Franek nie był niepokojony przez policję w ciągu swej całej kariery niebieskiego plaka, idzie zaś do więzienia właśnie w momencie kiedy zrywa z obmierzłym życiem, kiedy narazie świat ma nadzieję zdobycia uczciwej pracy. Tłkwa opieką „władzy” dbającej o jego polityczną moralność nie może pozwolić by narzązał się na kontakty z „niebezpiecznymi ludźmi”.

Los Franka wskazuje na słabość, beznadziejność prób oporu. Glinie też i Łucja. Odejście bohaterów z baraków na Anopolu sprawia, że tracimy z oczu tragiczne losy borykających się tam z wciągającym ich bagnem ludzi — ale nie znaczy to wcale, że ciężka atmosfera beznadziejności i nieuchronnej klęski człowieka została istotnie rozproszona w powieści. Jedyńm przeciwnym jej jest atmosferze elementem jest koń-

cowy akcent książki — gniew Franka przeciw „dobroczyncom”. „Ogarniał go coraz większy niepokój o Łucję... znów będą ją za drzwi wyrzucać pracodawcy, znów godzinami każą jej czekać na tyżkę zebrać zupy dobroczynny... O niechby już raz skończyła się ich dobroć! Ich panowanie! Nienawść przepełniała jego piersi, rosła w krzyk ogromny, w pragnienie zemsty — odwetu. — Zaciśnął pięści...”

Taką perspektywą kończą się w „Bezrobotnych Warszawy” aluzje, — niejasne ze względu na cenzurę sacyjną — które wskazywały, że Franek zetknął się z ludźmi uczącymi go rozumieć przyczyny jego nędzy i walczyć o sprawiedliwość społeczną. Książce nie brak akcentów gniewu, a nawet wezwań do walki. Pozostają one jednak deklaracjami, lub podkreślają jeszcze beznadziejność mieszkanców Annapola. Takie i rozmyślenia Franka wyglądają raczej na manifest osobistej zemsty zaszczutego człowieka, mający być sygnałem ostrzegawczym dla sytych, niż na świadectwo jego ideologicznej dojrzałości i zapowiedź przyszłego działania.

Takie skrzywienie perspektyw ideowych opisywanego świata jest wynikiem obciążenia tego nurtu literatury mieszczańskiej, który patronował sentymentalnej krytyce kapitalizmu, a którego wpływ widać niewątpliwie na książce Brzostowskiej. Myślę tu o „Przedmieściu”.

W programowym wstępie do tomu „Przedmieście” tłumaczono zainteresowanie autorów zespołu dla spraw marginesu społecznego tym, że w oczach ciężkich kryzysów gospodarczych granice jego są szczególnie płynne, że każdy proletariusz może w każdej chwili zostać wtrącony w szereg lumpenproletariatu.

Zainteresowanie sprawami bezrobocia daje okazję do gorzkiego i wstrząsającego oskarżenia ustroju — ale też nastrocza okazję do niebezpiecznych skrzywień autorskiego widzenia rzeczywistości społecznej. Z zakresu obserwacji powieściowej Brzostowskiej wyłączone zostały na przykład zupełnie sprawy pracującego proletariatu. To sprawiło, że bunt bezrobotnych, oderwany od całosci sprawy robotniczej jest tak bezsilny, a nawet przybierać może fałszywe wymiary osobistej zemsty strażnika. Może powstać fałszywa sugestia, że najważniejszą linią podziału jest ta, która oddziela ludzi mających pracę i środki utrzymania od pariasów vegetujących poza obrębem społeczeństwa. Wprawdzie piarska dostrzega nędzę bledoty wiejskiej (postać chłopca handlującego drzewem), ale w sposób dokładowy zabrało w książce obrazu „normalnego” losu robotniczego, „normalnego” wyzysku pracy ludzkiej, niezawisłego od tych schorzeń systemu kapitalistycznego, jakimi są okresy bezrobocia.

Dalszą słabą stroną powieści jest jej retoryczność. Wszelkie założenia opracowywane są w sposób — powiedziałabym — publicystyczny przez autorkę, która mówi od siebie wiele słusnych rzeczy, ale nie tworzy przekonujących postaci, które by mogły owe tezy przedstawić bardziej sugestywnie.

Starając się wzbudzić w kołach lewicującej inteligencji (gdz taki był przypuszczalnie społeczny krąg odbiorców tego rodzaju literatury) współczucie dla niewinnie cierpiącego człowieka, autorka zwraca uwagę przede wszystkim na ludzką wartość zepchniętą na dno bezrobocia. Stąd też niejednokrotnie nadmierna idealizacja postaci książki. Łucja przypomina raczej księżniczkę — zebraczkę, przypadkowo zablakną w tłum proletariuszy, niż prawdziwą przedtawicelkę tej klasy. Przesubtelnione uczucia tej delikatnej dziewczyny kreują ją na jakąś wyjątkową, niezrozumiałą przez ogół jednostkę. Pozostaje postać nie są specjalnie indywidualizowane — wszyscy niemal przemawiają tym samym językiem — niestety jest to aż nadto poprawny styl samej autorki — tak, że czujemy się zaskoczeni skoro subtelny Franek zwraca się do Łucji w sposób nasuwający skojarzenia z Wierchem. Z drugiej strony, czyż np. śmiertelnie zmęczony życiem robotniczym, który za chwilę ma się rzucić w nurty rzeki, może myśleć takimi kategoriami: „Gdyby tak rzucić się, upadł na jedną taką złością plamę pod mostem — zawrzałaby ze złości, że zmacono uroczę jej lenienie...”

W komentarzu autorki widać często dążenie do zatargania sumieniami posiadających, apelowanie do „szlachetnych uczuć” czytelnika. Owe akcenty sentymentalizmu znacznie osłabiają pozytywną wymowę powieści, nie zapominajmy jednak, że podobna atmosfera ciążyła na większości literatury postępowej tego okresu. Autorka jednak potrafiła zdecydowanie rozprawić się ze złudzeniami i fanatropi, potrafiła pod właściwym adresem skierować oskarżenie, jeśli nawet w języku powieści nie umiała go przekonywująco sformułować. A wstrząsającymi obrazami nędzy i krzywdy człowieka w nieludzkim świecie kapitalizmu dała świadectwo minionym czasom niedoli.

Halina Rybicka.

*) Janina Brzostowska: Bezrobotni Warszawy. Warszawa, 1950. „Książka i Wiedza” s. 148.

Leszek Goliński

W Polsce Ludowej

Tysiąc walecznych buduje Warszawę

Wokół wielkiej fabryki wyrastają dwa osiedla robotnicze, dwa bloki. Ale można raczej powiedzieć, że właściwym terenem akcji jest Marszałkowska — Dzielnica Mieszkaniowa. MDM pierwszy raz na scenie! Jest ona zapewne młodszą od sztuki Jana Rojewskiego, dlatego autor nie pisze o niej wprost, ale tej właśnie sprawie, dla której i z której powstaje warszawska MDM — poświęca swoje pióro i serce. „Tysiąc walecznych” — nowa sztuka Jana Rojewskiego — jest pierwszym prawdziwym poematem nowej, socjalistycznej Warszawy.

Tematyka ta nadaje dramatowi Rojewskiego wysoką rangę artystyczną i społeczną. Ale zarazem stawia bardzo wysokie wymagania.

Bo po pierwsze — dramat taki, przy zachowaniu pełni form scenicznych, musi zamknąć w sobie to wszystko, co nowe i postępowe, a co nieopodradnie czuje się na scenie. Bo — po drugie — dramat taki odmalować musi cały patos walki, która jest pracą, nie tracąc przy tym nic ze swego realizmu, ale pilnie strzegąc się naturalistycznego odchylania. Bo — po trzecie — dramat taki musi wyzbyć się wszelkie konwencjonalizmu, bo musi mówić o rzeczach wielkich językiem jak najprostszym.

Nielatwie więc zadania stają przed dramaturgiem, który potwie się na nową, współczesną tematykę. Tym bardziej, gdy terenem akcji uczyni Warszawę, gdzie dokonuje się rzeczy niezwykłych zwykłymi środkami. Tysiąc walecznych, budujących Warszawę, to tysiąc robotników, tysiąc betoniarzy, zbrojarzy. Śladem dwu bratów Kani — spotykamy tutaj walkę wieloletniej rutyny z rozentuzjasmowaną młodzieżą, śladem Sofronowa spotykamy tu socjalistyczne konflikty, kiedy kierownik jednej placówki, jednego odcinka, jednej budowy, drząc o swój plan, nie chce użyć pomocy drugiemu współzawodnikowi, który tej pomocy potrzebuje. Rojewski w swojej sztuce nagromadził cały szereg takich konfliktów, którymi aż dyszy nasza współczesność: śmiało narysował więc rolę partii, śmiało podszedł do zagadnienia współzawodnictwa zespołowego, do zagadnienia współpracy uczonych z racjonalizatorami, do zagadnienia czujności klasowej.

Stworzył wiele realistycznych sylwetek budowniczych socjalizmu. Dał postać młodego przodownika pracy, racjonalizatora i studenta — Stefana Przybojewskiego, postać

świadomego robotnika, koźlarza, który „zna się na ludziach” dzięki wysokiej świadomości klasowej i wystrzonej czujności — Kilnka, postać starego majstra Ziejli, który potrafi przezwyciężyć swoją rutynę i narowy i daje się porwać entuzjazmowi, jak czeski Karhan, daje sylwetki dwu sekretarzy partyjnych — Maciejewskiego i Porczyńskiego, którzy nie boją się, gdy zachodzi potrzeba, sami stanąć do roboty, do łopaty, którzy mają właściwy stosunek do ludzi, którzy rozumieją olbrzymią rolę partii w organizmie, jakim jest zespół ludzi, budujących socjalistyczną stolicę. Daje postać inżyniera Bocheńskiego, jednego ze „starej kadry”, rozkochanego w przedwojennej metodzie budownictwa, w dogmatach architektury anglo — amerykańskiej, który nie boi się, gdy zachodzi potrzeba, sami stanąć do roboty, do łopaty, którzy mają właściwy stosunek do ludzi, którzy rozumieją olbrzymią rolę partii w organizmie, jakim jest zespół ludzi, budujących socjalistyczną stolicę. Daje postać inżyniera Bocheńskiego, jednego ze „starej kadry”, rozkochanego w przedwojennej metodzie budownictwa, w dogmatach architektury anglo — amerykańskiej, który nie boi się, gdy zachodzi potrzeba, sami stanąć do roboty, do łopaty, którzy mają właściwy stosunek do ludzi, którzy rozumieją olbrzymią rolę partii w organizmie, jakim jest zespół ludzi, budujących socjalistyczną stolicę.

Tak więc autor w trzech aktach chciał pomieścić całą problematykę dnia dzisiejszego. Trzeba, przynajmniej, że dzięki szczeremu talentowi dramaturgicznemu wszystkie te konflikty i zagadnienia zostały zgrabnie wplecione w tok akcji, pełnej dramatycznych napięć, że nie jednocześnie przeważały wytrzymałość sceny i zneutralizowały się nawzajem. Wynikiem było zatopienie i zatuszowanie ostrza konfliktów.

Współczesny dramat, a raczej próby dramatyczne cechuje z reguły ta nadmierna zaborczość w stosunku do aktualnej tematyki. A tymczasem każdy z tematów, użytych przez Rojewskiego, starczyłby z osobna na pełnowartościowy dramat sceniczny.

Osią konfliktu dramatycznego jest sabotaż Synowca. Do rejestru zasług autora trzeba zapisać, że nie ubrał on magazyniera Synowca w mundur świadomego, politycznego agenta, ale że w sylwetce zwyczajnego oszusta i złodzieja pozwolił dopatrzeć się znaku równania z sylwetką sabotażysty i dywersanta. Każdy sabotaż gospodarczy, obojętny dla jakich celów popełniony, jest zbrodnia, najsurowiej ściganą przez prawo, najsurowiej potępioną przez społeczeństwo. Prawda ta uwypukla się jasno na tle drugiego i trze-

ciego aktu dramatu, wzbogacając jego wartość dydaktyczną.

Na tle, na marginesie, obok tej osi rozgrywają się wypadki, ściśle zezależające się nawzajem. Rosnie socjalistyczna stolica Polski — Warszawa. W jej odbudowie współzawodniczą i współzawodniczy profesor politechniki z betoniarzem, działacz partyjny z cieślą, student z literatem. Są bojownikami, walczą. Ale nie tylko walczą. Druga zasługa Rojewskiego: ci ludzie żyją.

Żyją, są pełnokrwistymi, ogladamy ich z wszystkich stron. Przystają być artykułem wstępnym, blaknącym się po scenie, workiem frazesów, sumieniem autora. Kochają się i nie wstydzą się swojej miłości. Kocha się sekretarz partii — Agnieszka Porczyńska. Kocha się i marzy o swoim mieszkaniu przodownik pracy Przybojewski. Robotnicy nie tylko biją brawo i pracują, a raczej pracują i biją brawo, jak to się dzieje w wielu innych sztukach, ale także od czasu do czasu jedzą, piją i dowcipkują. Wróg nie tylko szepcze i sumiennie zasługuje sobie na aureolę zdradcy i czarnego charakteru, ale także dowcipkuje z robotnikami, a oprócz tego najwyżej w świecie kradnie — z premedytacją, z doświadczeniem, bo wróg także ma głowę i nie musi oficjalnie obnosić swojej karty wizytowej z określeniem roli i zawodu. Ta „ludność” bohaterów Rojewskiego pozwala zasugerować i zniewolić całą widownię. Autor wybrał trafną drogę i umiał wczuć się w środowisko robotnicze.

Rzec Rojewskiego posiada istotne atrybuty realizmu socjalistycznego: daje nam wizję jutra, pozwala rosnąć ludziom, pozwala uczyć się widowni. Ale sztuka Rojewskiego nie ustrzegła się także dosyć poważnych błędów.

Nadmieniliśmy już o zachłanności autora, który w jednym garnku chciał ugotować dziesięć potraw i odmalować dziesięć różnych konfliktów. Nie to jest jednak najgorsze; choć ostabia artystyczną wartość sztuki, nie ostabia jej wartości ideologicznej.

Istotnym błędem jest skłonność do wpadania w drugą skrajność: pragnąc przedstawić rolę partii, Rojewski zagalopował się i zastąpił partią zarówno kierownictwo budowy, jak inżynierów, ba, nawet samych robotników. Partia w jego dramacie wypełnia każdą minutę i każdy metr budowy, sekretarz Partii jest wszystkim i jest wszędzie,

on decyduje zarówno o ludziach, jak i budowie. Pragnąc uczynić sztukę partyjną, Rojewski ją przepartynił.

Istotnym błędem jest również nieumiejętność zestrojenia życia prywatnego z życiem tzw. publicznym. Przybojewski właściwie kocha się w pięknej Agnieszce Porczyńskiej i ta miłość, zamiast im być pomocą lub przeszkodą w pracy, jest czymś ubocznym, z czym sobie ani autor, ani zakochani nie mogą poradzić. Z właściwą sobie złośliwością i przekorą sprawy miłości wpadają w dialog zawsze wtedy, gdy świat się pali, gdy grozi katastrofa, gdy trzeba czynić wszystko, tylko nie kochać się. Rozmowa o meblach, kupionych na raty dla gniazdka, które ściśle sobie racjonalizator Stefan, wypada akurat wtedy, gdy zawalił się strop i cały plan, cała nowa metoda budownictwa wisi na włosku. Z Agnieszki także lepsza jest narzeczona, niż sekretarz Partii. Ale to już błąd trzeci.

Jest nim niewłaściwe odmalowanie ludzi. Nie wszystkich, oczywiście. Dobry jest Stefan Przybojewski i Ziejla i Domaradzki i Synowiec i inżynier Bocheński, ale słaba jest Agnieszka, nie tylko, że jest kobietą, ale przede wszystkim dlatego, że wisi w próżni, gdzieś między zakonchaną studentką a działaczem partyjnym, gdzieś między mieszczańskim salonem, a partyjnym lokalem. Nie wyrosła z robotnic. Nie z nimi nie ma wspólnego. Rola Agnieszki daje zresztą wykonawczyom dużą swobodę interpretacji.

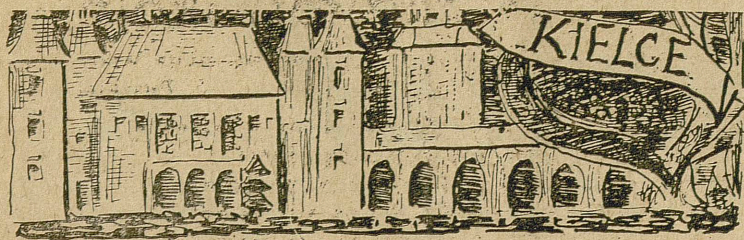
Natomiast całkowitym nieporozumieniem jest literat Halny. Jeśli wszyscy dramaturdzy polscy od Wypiańskiego bodajże przysięgli sobie ośmieszać swoich kolegów po piórze na scenie, to Rojewski zrobił to tym niesmaczniej, że wyrządził on literatom mimowolną krzywdę. Czy oznacza to, że nie ma u nas takich literatów, jakim jest Halny. Skądże, są na pewno, sami ich doskonale znamy. Ale Halny nie jest typowy, jest mało zaskocznym dla naszej literatury wyjątkiem. Jest wyjątkową ofermą, półprzytomnym łazikiem, który zachowuje się na budowie, jak stoż w składzie porcelany, albo raczej jak pchła na trasie W-Z.

„Tysiąc walecznych” wejdzie wkrótce na afisze teatrów stołecznych. Robotnicy Warszawy potrafią najlepiej ocenić wartość i wagę tej sztuki.

Leszek Goliński

Jan Skalski

Listy z prowincji



Najpierw o naszych „żalach” do „Wsi”. Mamy pretensję, że „Wies” o nas trochę zapomina. A tymczasem zachodzą przecież u nas wielkie rzeczy: wojewódzka orkiestra symfoniczna pod dyr. Mariana Strómskiego, uświetnia uroczystość oddania do użytku wielkiej hali produkcyjnej naszego kieleckiego „Domu Słowa”, czyli zakładów graficznych RSW „Prasa” na Młynarskiej. Zastępny Klub Literacki obchodził setny „czwartej”. Ma on te szczególne zasługi, że „zdolną” skupić maszynę tutejszego ciała pedagogicznego, co nadało mu wielką profesorską powagę i rutynę. Z kadrowym narybkiem robotniczym w klubie gorzej ale przecież drzwi otwarte a wstęp bezpłatny... szkółka czeka... Zresztą kielecka metropolia kulturalna i tak promieniując na województwo, czego dowodem, że w takim zadymionym Radomiu „przyjeżdżają” niedzielni artyści — literackie tamtejszego klubu. Ponadto już po raz 6-y otwarto ogólnopolską wystawę zimową plastyki, w której bierze udział aż 25 malarzy i 10 grafik! Kielce wystawiły w teatrze „Pieją Kopuły” Batuszisa, zanim Warszawa upadła na ten pomysł, ale ze to w Kielcach, to nikt nie napisał i poczekaj aż będzie w Warszawie. Ani, że położymy kamień węgielny pod nowe popiersie w parku — tym razem — Zeromskiego. Właśnie największe mamy pretensje do „Wsi” o Zeromskiego. Myśleliśmy, że co jak co, ale wystawa w Muzeum świętokrzyskim poświęcona Stefanowi Zeromskiemu popuszy redację, bo przecież głośno o niej w kraju. Opróczaliśmy po niej różnych literatów, znośiliśmy „cierpliwie”, jak nas poklepywali po plecach i głaskali po głowkach jak „zdolne” dzieci, ale przecież ukończył napisali tu i ówdzie i pochwalili. Warto obejrzeć tę wystawę z różni „względów a choćby dlatego, że daje obraz nie tylko twórczości Zeromskiego ale całej epoki, tego, co w swym zadumaniu kształcił utrzymywał się u nas do ostatnich czasów i dopiero teraz przechodzi do muzeum, wymiatane przez „nowe”.

Otóż chodzi właśnie o to „nowe”. Pod tym względem redakcja ma nas na sumieniu. W oczach czytelników pozostaliśmy bowiem z opinią marnej prowincji, jaką nam „Wies” jeszcze dwa lata temu wyrobiła, aczkolwiek, wówczas silniejszej, bardziej podobnej do tamtych Kielc z muzealnej wystawy Zeromskiego i geograficznych notatek Wacława Natkowskiego z początku stulecia. A my przecież przez te dwa lata nie staliśmy w miejscu — urosliśmy, zdążyliśmy ukończyć nasz plan 3-letni i dobrze zacząć 6-letni.

Spójrz czytelniku na mapę naszego województwa a w szczególności na przylutny kąt w tuku Wisły; darmo tu było szukać linii kolejowej lub choćby przyzwoitej szosy, a to przecież najnudniejsza część województwa.

W planie 6-letnim budujemy trzy linie kolejowe, które przeczną nasze województwo z północy na południe i z zachodu na wschód, budujemy setki kilometrów dróg bitych, produkujemy SAMOCHODY W STARCHOWICACH, Starchowice to będzie Nowa Huta naszego województwa. Urosną do miasta stutysięczne. Ten, kto zna stare Starchowice, wie, że to prawie tyle, co wybudowanie nowego miasta. O Starchowicach już dziś warto pisać. Przechodzimy tam na potokowy system produkcji. To nie jest taka zwykła reorganizacja pracy, jakby się może komuś zdawało. Do potokowej produkcji trzeba doradzić MY DORASTAMY, choć nie idzie łatwo. Baga wyjściowa, to częściaki, kadów, która daje początek potokowi produkcyjnemu, jest u nas zespół fabryczny FM, produkujący odlewki. Otóż właśnie FM była wąskim gardłem naszej produkcji, tu robiło się najwięcej braków.

Najmłodszy

W naszej Bibliotece Gminnej największym powodzeniem wśród młodzieży szkolnej cieszą się tzw. „czerwone książeczki”. Biblioteki „Zołnierza”, zawierające nie skróty, lecz fragmenty wybitniejszych dzieł literatury radzieckiej takich autorów jak Gorki, Polewoj, Fajdajew, Niekrasow, Ostrowski (z polskich widziałem tylko „Fundamenty” Pyłakowskiego). Biblioteka gminna posiada trzydzieści kilka tych tomików i wszystkie są stale w ruchu. Ile razy przyjdzie do biblioteki, zawsze zastaję tam gromadkę mikroświatu w wieku od ośmiu do dwunastu lat. Zwartym kołem otaczają stół i siedzącą przy nim bibliotekarkę, wyrzucają sobie książki z rąk, wertują je leżące na stole, dopytują się o inne — istny tam jarmark, handel wymienny, połączony z licytowaniem i reklamą. „Kto ma „Czyste sumienie”? Zbyszek, tyś mi zabral!” — „Nie, ja ci nie wziął, u Władka widziałem”. — „Ale ten lotnik, to był morowy, no nie? Ty byś na jego miejscu ani połowy drogi, nie przeszedł”. — „A właśnie żeby nie przeszedł, jakbym nie mógł na rękach, to bym się tułaj po śniegu”.

Przełom nie wyszedł „z góry”. Punktem zwrotnym stał się... mocny, krytyczny artykuł w GAZETCE SCIENNEJ. Napisał go tow. Ponikowski, formierz — przodownik pracy. W artykule „schłastał” cały styl i organizację pracy odlewni. Pisał jak kwiłt bezbrostka i brakorobstwo w pierwszej połowie miesiąca a dopiero w drugiej połowie weszły na się alarm. Pod groźbą niewykonania miesięcznego planu odbywają się codziennie odprawy, narady i zebrania, podgania się godzinami nad liczbowymi za wszelką cenę i na wszelki sposób, co jednak nie wpływa na zmniejszenie się liczby braków a tylko na podniesienie kosztów produkcji.

Artykuł ten dał początek burzy, ale była to burza zbawienne. Już w listopadzie liczba braków zmniejszyła się o 40%, a ilość godzin nadliczbowych o 650. W styczniu znów trochę zaczęło się psuć. Lecz wtedy sprawa braków była już dzięki Ponikowskiemu sprawą całej fabryki a dzięki gazecie „Stowo Ludu” SPRAWA CAŁEGO WOJEWÓDZTWA. 15 stycznia ruszyła do walki o odlew grup partyjny formierzy. Całe województwo śledzi ich wysiłki. Podobnie jak śledzi meldunki z pola walki o szybkie wytopy w HUCIE OSTROWIEC. Grupa partyjna z mistrzem szybkich wytopów tow. Janem Cielbąkiem uzyskała tu kilka dni temu rekordowy czas wytopu: 3 GODZINY 15 MINUT. Jeszcze w zeszłym roku wytopy trwały po 10 godzin. Dopiero zobowiązania dla uczczenia 33 rocznicy Rewolucji Październikowej daty zryw. Tow. Adam Podrąży po raz pierwszy w dziejach Huty skrócił wtedy czas wytopu do 4 godzin. Walka wciąż jeszcze trwa, padają rekordy. Tak na martenach Huty Ostrowiec hartuje się stal i HARTUJE SIĘ CZŁOWIEK.

Mówimy o hutach i odlewniach ale teren nasz to nie tylko Starchowice i Ostrowiec, to cała kraina odlewni: Białogon, Nieklani, Suchoń, Końskie... co prawda, w większości „zabytkowych” i do niedawna b. prymitywnych. KRAINA STARCHOWIEC ODLEWNI w tym samym stopniu co TRADYCYJNYCH TAKOW. Ale i tu dopadała rewolucja. W Nieklaniu rewolucjonizuje produkcję stary mistrz, racjonalizator tow. Roman Młynarczyk, a do stojącej tartaki kieleckiej przechodzi na... szybkościową metodę obróbki drzewa — metodę uczonego radzieckiego inż. Kowalewa.

To znaczy tyle samo co to, że w Białowie, do niedawna siedzibie feudałów — Księcia Druckiego-Lubeckiego zabłysło ELEKTRYCZNE ŚWIATŁO. Białowię odmierzył w ten dzień cały epokę historii. Takich wsi w województwie będzie 1500 w okresie planu 6-letniego.

42-letni Wacław Oleczak, bezrolny chłop z Czużowa gm. Białogon zgłosił się do powiatowego Zarządu ZMP i powołując się na artykuł w gazecie prosił o przyjęcie na kurs PRAKTYKOW-SPECJALISTÓW. Wacław Oleczak są u nas tysiące.

Wybaczyć mi, że rzucam takie oderwane przykłady. Wyrwane z kontekstu są tylko pozornie...

Chciałbym napisać jeszcze, że nasze spółdzielnie produkcyjne wykonują plan orek jesiennych, w tym samymi traktorami aż 95%! I obliczają teraz dniówki obrachunkowe, lecz spółdzielnie nasze to wielki temat — wymagają osobnego listu... P. S.

Zapytacie zapewne, czy Białogonscy i Koszycz Zeromskiego wymarli już u nas bez reszty i bezpotomnie.

Jeszcze nie, lecz i oni zmienili dziś... skóre i proceder. Zajmują się szyciowaniem korespondentów robotniczych jak pewien dyrektor z Odlewni w Białogonie i jak jego wieloletni kolega z Kieleckich Zakładów Wyróbów Metalowych. Niektórzy siedzą jeszcze w urzędzie kwatunkowym w Jędrzejowie...

„Daj mi „Prawdziwego człowieka” to ci dam „Matkę”. — „A „Stalin” grada nie chcesz?” — Proszę pani, proszę pani, „Opowiadania o Leninie” i „Jak sobie zamówiliśmy”. Bibliotekarka nie może się polapać, która jaką książkę bierze, zapisuje więc myślnie tytuły, wykreśla je, przeznosi na nazwisko innego abonenta, ale że jest wesoła i lubi młodzież, cały ten rozgardiasz sprawia jej raczej przyjemność. Opowiadała jej raczej przyjemność. Opowiadała jej, że nierzaz książki giną jej spod ręki i w ogóle z biblioteki, zawsze jednak po upływie jakiegoś czasu odnajdują się, wracają. O tym, by mali czytelnicy wybierali sobie książki z katalogu, mowy nie ma. Małec musi zobaczyć książkę żywą, koniecznie wziąć ją do ręki, niemal powąchać, odczuć ją wszystkimi zmysłami — i wtedy dopiero jest pewny, że nie „kupił kota w worku”.

Tomiki Biblioteki „Zołnierza”, to mądry pomysł wydawniczy. Książeczki te zapoznają młodocianego czytelnika z literaturą socjalistyczną o wiele prędzej i łatwiej, niż pokażone tomy oryginalne.

Henryk Worcell

Sprawy czytelnictwa

Głód książki

Pierwszą książką, którą zobaczyłem po raz pierwszy w życiu, był elementarz szkolny. Kupił mi go matka za 15 jaja. I z nim to zaprowadziła mnie do szkoły, oddając w opiekę nauczycielki, która miała nauczyć mnie sztuki czytania.

Drugą — był „Robinson Kruzo” — książka, o której marzyłem przez długie miesiące... Cośkolwiek z treści już zamełłem, ale to opowiadał starszy. Ale to jeszcze bardziej podsycało moją dziecięcą ciekawość. Wprawdzie na korytarzu szkolnym stała na trzech nogach ogrzynała przez mysz szafa, w której mieściła się biblioteczka szkolna i w niej znajdowała się owa cudowna, wymarzona książka, ale z biblioteki mogły korzystać tylko starsze klasy. Zazdrościłem tym szczęśliwcom i z niecierpliwością oczekiwałem chwili, w której będę mógł dostąpić tego szczęścia...

Wreszcie zdecydowałem się pójść do nauczycielki, która miała opiekę nad biblioteką. Wspinając się na palcach (aby pokazać, że nie jestem już taki mały) drzącym głosem wyksztusiłem prośbę. Dostałem „Robinsona”. Radość moja nie miała granic. Odtąd zaczęło się życie, które liczyłem ilością przeczytanych z gorącą, nienasyconą, dziecięcą ciekawością książek. „Poznałem” jedną po drugiej. Gorąca sprawa była w domu. Ojciec, kiedy zobaczył, że czytam jakieś „szkolne” książki ostro mnie karcił: — Po co ci to? Urzadnikom nie będzieś!!! Ty chłopczyś syn... W szkole naucz się dobrze rachować, żeby ci w mieście handlarz przy sprzedażu zboża i soltyś przy podatkach nie oszukał. (Doświadczał tego często na własnej skórze).

Czytałem również gazety. Kiedy matka przynosiła do sklepu śledzie,

chwyciłem zamoczoną „lakiem” gazetę, z pietyzmem rozposzcierałem na kuchni, suszyłem, a później każdy jej skrawek czytałem do ostatniej litery. Przeczytanymi nowinami dzieliłem się z kolegami. Nie zawsze chcieli mi wierzyć, gdyż pewnego razu przeczytawszy skrawek gazety z 1918 r. napowiadałem im takich rzeczy, że od tą straciłem zaufanie.

W czasie okupacji głód książki był jeszcze dotkliwszy. Niemcy zniszczyli szkolną bibliotekę, z której czerpałem już wszystkie książki przeczytane. Jedyną książką, którą wtedy przeczytałem, był „Pan Tadeusz”.

...O roku ów, kto cię widział w naszym kraju — czytałem po raz nie wiem który i czekałem na ów rok, który ja zobaczę... Ujrzałem. Był to rok 1944.

Dziś to wszystko zdaje się być legendą.

Tysiące tomów czeka na chłopskie dziecko, któremu kiedyś do wiedzy wstęp był wzbroniony. Dziś wspomina o tamtych czasach z nienawiścią. Z żalem myślę o straconych latach mojego dzieciństwa.

Dziś, kiedy przyjeżdżam na ferie do domu (studuję na uniwersytecie) brat mój czyta książki (z Gminnej Biblioteki, ma ich pod dostatkiem) przy dużej lampie (wkrótce będzie czytał przy elektryczności) do dwunastej, piątej w nocy i nikt na niego nie krzyczy. Listonosz, który kiedyś przychodził raz na kilka miesięcy i nie dobrego nie wróżył, dziś codziennie przynosi gazety. W niedzielę ojciec siada przy stole i polozowywa na nim spracowane, czarne, chłopskie ręce zwraca się do brata:

— No przeczytaj, co tam w polityce słychać... Brat bierze „Gromadę” i czyta głośno. Jan Wróblewski

Droga książki na wieś

Bywam często w „Domu Książki” w Lipnie. Prowadził mnie tam ciekawie przejrzenia nowych, sprawozdanych książek, z których często jakąś nabywam. Pod koniec listopada zauważyłem, że prawie wszystkie książki z wielu długich półek zniknęły. Ho, ho pomyślałem — wywiedowały w ręce czytelników! Przed nowym rokiem znów wielkie paki książek nadeszły do „Domu Książki”. Parę dni temu jestem tam i oczom nie wierzę — znów prawie wszystkie półki próżne. No to idą na wieś — mówię głośno — bo przecież mieszkańcy na powiatowa, jak nasze Lipno, takiej ilości książek nie wykupi.

— Ależ obywatelu — odpowiada kierownik — sądził się, że przy dniach targowych w okresie przedświątecznym poszły na wieś. Nie, tak dobrze jeszcze nie jest, rozpoznałbym książki po gminnych spółdzielniach, jakich na terenie powiatu mamy 18. Każdej z nich przydzieliliśmy książek za sumę 5000 zł. (nowych). Zrobiliśmy to dlatego, aby książki znalazły się bliżej wsi, aby się nią wieś bardziej zainteresowała.

Odwiedziłem w czterech gminach gminne spółdzielnie, zaciekawiony gdzie i jak książki umieszczono w sklepach, jak się zachęca ludność i jak książki idą na wieś?

Otóż... w jednym ze sklepów dlatego tylko książki znalazłem, że specjalnie o nie pytałem. Wprawdzie były w sklepie na półce, ale zasłonięte porozwieszaną lokwiźną. W innym podobnie, książki leżały na niewidocznym miejscu a „najgustowniej” to już chyba leżały one w sklepie spółdzielczym w Karkowie: na najbliższej półce, że nie sposób zauważyć, jeżeli się nie zbliżymy i nie nachylimy. Natomiast wódka stoi wyżej nad książkami, już od progu widać ją. Sama droga książki na wieś jest dobra i pochwalic ją należy, a temu kto ją obmyślał należy się uznanie, a przy uznaniu i pochwale, jednych, trzeba dopowiadać drugim, aby też

należycie szacunkiem i godnością dla książki znaleźć dla niej odpowiednie miejsce w naszych sklepach spółdzielczych.

Nie jesteśmy tak biedni, aby nas nie stać na szafkę oszkloną. Taką szafkę można umieścić nie koniecznie tam, gdzie inne towary. Można wybrać wolne i widoczne miejsce i na ścianie i niektórych tytułach obrócić tak, aby były widoczne. Poza tym nad szafką dać odpowiednie hasła. Obok umieścić tablicę, gdzie by się zapisywało: 1) Ile z każdej wsi kupiono książek i jakich — tak, ogłaszać współzawodnictwo! I dawać kontrolę społeczną! 2) Listy czytelników, mówiące o treści przeczytanych książek, dające ich oceny, zachęcające. Wszak zostają pracownikami w spółdzielni to już pewien zaszczyt, połączony z obowiązkiem służby społecznej. Bo idea spółdzielczości to nie tylko kupić i sprzedać, mieć nadwyżkę i rozstrząsać się. Rozstrząsać się, owszem, ale wraz z popęśnieniem się bytu gromady i gminy. Aby to osiągnąć spółdzielczość jednocześnie ma za zadanie: podnoszenie wiedzy, świadomości, nauki i oświaty. I właśnie dlatego dla każdego pracownika spółdzielni książka winna być nie tylko „artykułem” ale bronią, którą swoją bronią ręką odegra w zadaniach spółdzielczości. A gdy już tego książka dokona to kiedyś i w Lipnie przy dniu targowym będą książki z półek „Domu Książki” tak samo znikać jak w piekarniach chleb.

Ala teraz nie jest jeszcze dobrze. Redakcja „Wsi” pytała mnie, co ludzie mówią o konkursie jaki podobno ogłosił Zarząd Główny ZSCh na temat przeczytanych pięciu książek (i to w dużym stopniu nowych) — a tu w gminnych spółdzielniach nie o tym nie wiedzą, nie informują ludzi, nie wywieszają afiszów (a takie powinny być zrobione). To ja teraz pytam: jak tam z biurokracją w Zarządzie Głównym?

Seweryn Skulski

Czy to naiwność?

W korespondencji zamieszczonej w 6 N-rze „Wsi” pt. „W odpowiedzi pisarzowi” ob. dr Józef Słotwiński bronił dotkniętej przeze mnie SOW „Czytelnik” za niewyrażenie adres mego notatki pt. „MOJ PEGAZ I WYDAWCA SZKAPKA”. Oczywiście przynajmniej, iż adres był niewyrażony. Winien on brzmieć... i „kolporterka skapka” co niniejszym prostuję. Jednak co do treści notatki nadal podtrzymuję, iż ograniczanie się wyłącznie do „Domu Książki” i w niczym nie zahaczała o „Czytelnika”. Przeto zdziwie się, iż ob. dr Słotwiński zamiast jedynym słowkiem sprzeczając nieodpowiedni przymiotnik w tytule, rozgadął się niepotrzebnie, posługując się o naiwności, błędy pojęciowe i ubolewa, iż „nie szczęśliwie sarkazmu i żółci”. Uważam, iż sprawa ta jest nie tylko sprawą autora, ale też poniekąd i „Czytelnika”. Pisałem przecież, że od paru miesięcy mejs książki nie ma w sprzedaży. I dotychczas nie ma jej w Katowicach, w Gliwicach, w Chorzowie, w Zabrze, w Sosnowcu, a nawet jak mi poinformowano w Krakowie. Nie jest to bynajmniej odosobniony wypadek — tak jest z wieloma wydawnictwami książkami. Leżą sobie spokojnie w magazynie (np. swego czasu tom poezji Anny Kamieńskiej i innych). Toteż przy pisaniu poprzedniej notatki uwałem nie byłam tak naiwny jak sądzi ob. dr Słotwiński, bym „nie nie wiedział”, iż „Czytelnik” nie ma dystrybucji na kolportaż książek”. Zwróciłem się w tej sprawie do wojewódzkiej Delegatury „Domu Książki” w Katowicach. Okazało się, iż Delegatura wy-

stała w dniu 6 listopada 1950 roku zamówienie na 500 egzemplarzy, lecz nie odniosło to skutku. Stąd ten sarkastyczno-żółciowy ton mejs notatki. Dla dobra sprawy chciałem, szczerze, a może coś poskutkuje? Bo pokrzywdzony autor traci cierpliwość, i uwałem nie ma ohoty bawić się w bezskuteczną korespondencję biurową. Brak również ochoty do pisania. Dlaczegoż więc ob. dr Słotwiński zdziwi się, iż ułata mi się żółć i w tytule notatki napisałem „człapięca skapka”? Nie poważnie? Oczywiście, parodia. Ale gdy książki leżą w magazynach, a brak ich przez kilka miesięcy w sprzedaży, to poważnie? „Drugim mój błąd” o jakim wspominał ob. dr Słotwiński nie był bynajmniej błędem, a tylko świadomą drwiną. Dawałem do zrozumienia, że przy takim kolportażu można sprzedać nie więcej książek, niż rozda się gratisowo. To każdy czytelnik notatki oprócz ob. dr Słotwińskiego pojął. A że „Czytelnik” egzemplarze gratisowo rozstał w porę i bez zarzutu — przekonałem się już dawno o tym, czytając wiele notatek w prasie. Również zaraz po wydrukowaniu książki otrzymałem gratisowo 25 egzemplarzy. To samo było po wydaniu „Ugorów” i „Cierpkiego owocu”. Gdy wydawnictwa miały w swych rękach kolportaż — książek w księgarniach nie brakowało. Wiece „Czytelnikowi”, a przy okazji i „Książce” śle słowa uznania, dr-owi Słotwińskiemu życzę więcej rozważań, a „Dom Książki” proszę o naprawienie kiepskiego kolportażu. Czas już podjąć te ich kulawą szkapę! Józef Pogon



Podhale do przemysłu

Podhale to najsłabiej przemysłowa część Polski co wraz z przeludnieniem rolnictwa i dużym rozdrobnieniem gospodarstw wpływało bardzo ujemnie na całokształt życia tutejszej ludności. Właśnie mając na uwadze te problemy Sejm uchwalił budowę dwóch dużych ośrodków przemysłowych w Nowym Targu i Jordaniowie. Aby odciążyć nadmiar rąk z przeludnionych wsi powstaje jeden z największych obiektów przemysłowych planu 6-letniego „Nowa Huta” w woj. krakowskim. Małorolni chłopcy znajdują więc zatrudnienie i dobre zarobki w rozbudowywanym się przemysle. Już w 1950 r. dał się zauważyć wzmózniony odpływ ludności w kierunku Podhala do przemysłu. Tak np. z gminy Bystra Podh. wyjechało w ubiegłym roku do robot w Nowej Hucie 95 osób. W PPB w Krakowie zostało zatrudnionych 60 robotników zaś w Bielsku i Katowicach ok. 30 osób. Nadto wyjechało i osiedliło się na Zachodzie 5 rodzin. Nie można powiedzieć, że gmina Bystra należy do najbardziej przeludnionych okolic Podhala. Przeciętna struktura gospodarstw. Na ogólny obszar gminy 13690 ha przypada na lasy 5526 ha, użytki rolne 6900 ha, nieużytki 92 ha. Na 2144 gospodarstw jest do 2 ha 450 gosp. od 2 do 5 ha 796, od 5—10 ha 729, od 10—20 ha 162, od 20—50 ha 7 gospodarstw. Są na terenie gminy dwa tartaki ponad 10 sklepów. Są warsztaty rzemieślnicze i chatupnice. Wiele mieszkańców zatrudnionych jest w PKP. Bystra jest miejscowością letniskową, co również wpływa na dochodowość i samożycie Bystry. W porównaniu z okolicznymi gminami przedstawia się dość korzystnie, co powinno wpływać hamując na migrację ludności, jest jednak przeciwnie. Bystra do równie a nawet przewyższa wiele gmin pod względem emigracji. Bardziej przeludniona i uboga jest np. sąsiednia gmina Letownia a mimo to dużo mniej ludzi ruszyło za zarobkiem w świat. Co jest tego przyczyną? Znaczący wpływ na te procesy ma komunikacja. Na terenie gminy Bystra są dwa przystanki kolejowe

a przez Osielec przebiega ważna trasa samochodowa Nowy Sącz—Bielsko. Dzięki dobrym warunkom komunikacyjnym ludność ma możliwość łatwego kontaktowania się z ośrodkami przemysłowymi. Znaczna część robotników przemysłowych z Bystry przyjeżdża na każdą niedzielę i święto do domu.

PPB w Krakowie odwozi bezpłatnie w każdym tygodniu w sobotę dwoma autami robotników do Bystry i przywróci ich spowrotem do pracy w poniedziałek. Względnie komunikacyjne wpływają w znacznym stopniu na migrację ludności do przemysłu i ta sprawa wymaga odpowiedniego ustosunkowania się Rady Gminnej. Słaba zachęta i nieodpowiednia propaganda władz wiejskich w okolicznych gminach jest przyczyną powodem, że ludność z nich odpływa do przemysłu w mniejszym procencie. Robotników z gminy np. Letownia zniechęca uciążliwa podróż do ośrodków przemysłowych. Do najbliższego przystanku kolejowego mają Łękowian ok. 8 km, a przecież w odległości 10 km, biegnie autostrada Kraków — Zakopane i z Letowni podobnie jak z Bystry można by zorganizować przejazd autami. W tej sprawie potrzebna jest pomoc i współpraca Rady gminnej, jak tak to jest w Bystrze. Tutejsze władze gminne nie szczędzą wysiłku by skierować swą wieś ku lepszej przyszłości. Wyrazem troski o rodziny, których członkowie wyemigrowali z gminy za pracą, niechaj będzie powzięta jednomyślnie przez GRN uchwała, mocą której rodziny te zostają zwolnione od szarwarku a biedne rodziny otrzymują nadto ulgi w podatku gruntowym. Taki stosunek zachęca ludzi do szukania pracy. Z zarobków korzysta nie tylko robotnik, podnosząc stopę życiową ale także wieś cała i państwo. To nieprawda jest że chłop woli siedzieć na swojej biedzie i głodować, byle tylko nie ruszyć się za wieś. Kto tylko ruszył za pracą, przekonał się zaraz że nie warto bledować na zagonie i zachęca innych.

Gacek Władysław

Płacić czy nie płacić?

„Prasa Polska” miesięcznik wydawany przez Zaw. Zw. Dziennikarzy RP. w numerze 6—7 z czerwca — lipca 1950 r. w Instrukcjach Zarządu Głównego Z. Dz. RP. zauważa, że jestestym na zlej drodze w formie wynagradzania korespondentów terenowych. Instrukcja poleca selekcjonować korespondentów na „lepszych” i „gorszych”. To znaczy „lepszych” wynagradzać, ale nie pieniężnie, lecz od czasu do czasu, przy różnych okazjach, rocznicach pism, zjazdów, itd. wynagradzać bibliotekami, książkami, radioaparatami, prenumeratami pism. Stale rzucały redakcje mogą stosować tylko wobec tych korespondentów, którzy spełniają jakieś inne funkcje w ruchu korespondentów, które wymagają stałego nakładu pracy i czasu, jak np. instruktorzy i organizatorzy.

Instrukcja zauważa, iż wielu korespondentów goni jedynie za zarobkiem i wobec tego piszą te same korespondencje do kilku pism jednocześnie, pobierając honorarium. Instrukcja też radzi, aby każdy z korespondentów był wpisany do jednej z redakcji jako macierzystej.

Gl. Zarz. Zw. Zaw. Dz. RP. widocznie uważa, że korespondentów terenowych posiadamy już dosyć, a może nawet za wiele i wobec tego trzeba ich poseregować na „lepszych” i „gorszych” i naturalnie tych „gorszych” — ot, wyrzucić za burtę.

Niech Gl. Zarz. Zw. Dz. RP. nie obawia się konkurencji korespondenta terenowego. Korespondent terenowy kocha swój teren, zna ludzi, ich wartości, patrzy własnymi oczyma na terenowe sprawy społeczne, bierze w nich udział. Posadzić go w Warszawie czy gdzie indziej przy biurku, on tam nie będzie „produkcyjnym” i sam ucieknie z powrotem na teren albo mu po jakimś czasie ktoś powie, żeby to zrobił. On na terenie jest zadowolony z roli korespondenta i wtedy jest tylko wartościowym, gdy poza pracą korespondenta pracuje społecznie, pracuje w swoim zawodzie robotnika, czy rolnika.

Nie radzę jednak odliczać jednych jako „lepszych”, drugich jako „gorszych” ponieważ ten „lepszy” kiedyś

napewno był „gorszym” a wiadomo, że większość korespondentów to ludzie młodzi. Nawet ten „najgorszy” już jest dobry gdy pisze, a jak pisze, to i walczy, bo przecież dziś w ostrych walce nowego świata ze starym i dobijania wroga klasowego, korespondencje nie składają się z bajeczek dla usypiania niemowląt w kołyskach, tylko z treści społecznej, walczącej z wrogiem klasowym. A kto dziś pisze w Związku Radzieckim wspaniałe książki o „walce i pracy” o budowie socjalizmu i budowie nowego człowieka — to prości wczoraj ludzie, początkujący przed laty w zwykłych korespondencjach do pism.

Czy „Gromada” bilaby dziś ponosić milion egzemplarzy gdyby nie miała kilka tysięcy korespondentów? Pisma w Polsce sanacyjnej nie wiedziały nawet o tym, że jakiś tam korespondent terenowy może być i nim się nazywać. Pisma za sanację bez wsi wychodziły dla wsi. O potrzebach wsi i dążeniu chłopu pisali różne grzybiórki nie znające wsi ani chłopów.

Nie utracąc „gorszych” korespondentów, ale wychowywać ich na coraz lepszych i zachęcać coraz więcej społeczników terenowych do pisania. Raczej organizować koła korespondentów, przez to dodamy im śmiałości do owocniejszej walki z wrogiem klasowym i walki bardziej skutecznej. Za pisane korespondencje honorarium nie zdobyło kieszenie jednego korespondenta, ale na koło korespondentów za co mieliby potrzebne rzeczy do pisania, koło opłacałoby pisma i bogaciło się książkami wybrane przez siebie treści. Wrog klasowy miłaby do czynienia z kołem korespondentów, a nie jednostką, której jeszcze czasem unie nogę podstawia i oświadcza: „nie ma”.

Czy płacić, czy nie płacić? Otd jest pytanie. Ale pod żadnym warunkiem nie wolno nam z drogi, którą idziemy do socjalizmu, zawracać. A rozdział korespondentów na „lepszych” i „gorszych” czyli „gorszych” wyrzucać za burtę oznaczałoby w drodze do socjalizmu zrobić krok wpród i dwa wstecz.

Józef Bondarczuk

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet.
Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr 12. Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr 7.
Prenumerata i Kolportaż: P. P. K. „Ruch”. Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 804 20 do 25.
Tel. Red. Nacz. 727-80. Tel. Redakcji 751-80. Wewnętrzny 23 i 80.
Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK”.
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH REKUPISÓW NIE ZWRACA.
Wpłaty na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzywy 16. Chmielna 25.
W a r u n k i p r e m u e r a t y:
miesięcznie 3—zł., kwartalnie 9—zł., półrocznie 18—zł., rocznie 36—zł.;
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO. Warszawa VII—1080/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wies”.”
Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd. Ośw. „Czytelnik” Marszałkowska 3/5
2-B-11254